odgłosu

TYGODNIK ROK VII

Nr 13 (817)
29. III. 1964 R.
CENA 1 ZŁ

W numerze: O książkach Czernika, Lorentzowej i Koprowskiego ● Kto to są Rotszyldowie? ● Sylwetka Alfreda Hitchcocka ● Buffalo Bill ● Łódzka architektura niedalekiej przyszłości ● Recenzje ● Felietony ● Polonica

PSICA

wanda karczewska

Idzie za nią w pewnej odległości, niespiesznie, noga za nogą, dopóki tamci, z jachtu, mogą go jeszcze dostrzec. Teresa pnie się pod górę, wyprzedzając go o kilkaset metrów. Wchodzi wreszcie na drogę między zagajnikami i znika za zakrętem. I ani razu nie ogląda się, choć w tej ciszy wczesnego poranka nie może nie słyszeć chrzęstu jego kroków po wyżwirowanej drodze. Kiedy pierwsze rzędy młodych świerków zasłoniły go wreszcie przed spojrzeniami tamtych ludzi ze „Zjawy", Henryk zaczyna biec. Dopada do zakrętu, przystaje na chwilę, żeby wydyszeć z siebie zmęczenie i — mija wreszcie zakręt. Ogarnia go zdziwienie: ona jest o wiele bliżej, niż się spodziewał, jakby skryta za zakrętem czekała dobrą chwilę, aż on się przybliży, nadsłuchiwała odgłosu jego biegu i ruszyła dopiero co; teraz idzie znowu powoli, dotykając niedbale gałązek świerczków.

Henryk zaczyna znowu posuwać się za nią, wolno, brzegiem ścieżki, zarosłym rzadką trawą; trawa głuszy jego kroki. Naraz ona zatrzymuje się i jego ogarnia popłoch: obejrzy się i — pozna go; jeszcze nie jest gotów do tego spotkania. Uskakuje za krzak ożyny, chowa się; po chwili dobiega go znowu skrzypienie piasku pod jej stopami. Wychodzi ostrożnie zza krzewu; ona idzie wyprostowana, więc on znowu stąpa za nią cicho, po trawie. Ale myśli: „Dlaczego ona się nie obejrzy, przecież dobrze wie, że ktoś się skrada za nią; to tylko jej ręce udają niewiedzę, muskając czubki gałęzi, zrywając z nich drobne, zielone igiełki, ale jej plecy są czujne, jej barki napięte, nie oszuka mnie". Teresa raz po raz odchyla głowę w bok, jakby kątem oka sprawdzała, czy on idzie za nią dalej. Wydaje mu się też, że Teresa czasem łamie rytm kroków, opóźnia stąpnięcie, aby trafić słuchem w tę chwilę, kiedy żwir zachrzęści pod jego nogą. Zaczyna go to bawić, powstrzymuje śmiech, myśli: „Sprawdza czy jestem, czy nie przestałem iść za nią, to... — szuka słowa, które by pasowało do niej, takiej właśnie udającej, że nie obchodzi ją, czy ktoś za nią idzie i napiętej w tej pozornej nieuwadze, — to..." — I naraz ma to słówko, wyskoczyło z jego pamięci jak ryba z dna: „To psica!" — szepce. Ma ochotę zawołać: „Psico!", kładzie sobie rękę na ustach. Obrazi się, może nie pamięta tego ich słówka sprzed lat; może w ogóle nie pamięta jego

(Dalszy ciąg na str. 5)

Wyrok na siewcę

JAN BABIŃSKI

Każdy ma swoje hobby, pan Bałutka też ma. I wszyscy nawet wiedzą, jak ten konik wygląda. Dawno przestano się dziwić, że pan Józef prosto z fabrycznych magazynów pędzi do biblioteki, albo na pociąg do Łowicza. Wiadomo, w czym rzecz. Pan Bałutka usiądzie w muzeum i zacznie szperać w drukach, dawnych wydawnictwach, za wszystkim, co odnosi się do zakładów „Kraj".

Wie o dziejach fabryki więcej, niż ktokolwiek inny. To on kiedyś powiedział, że pierwszy siewnik na ziemiach polskich wyprodukowano tuż przed pierwszą wojną światową i to w Kutnie.

Nie wierzono. Jakże to, produkcję siewników podjęto dopiero po drugiej wojnie światowej, wcale nie wcześniej. Nikt nie przeczy, że „Kraj" to stara firma, jedna z najstarszych tego rodzaju w Polsce. Uruchomiono ją w 1890 roku, wyrabiała sieczkarnie, kieraty, próbowała szczęścia z młockarniami — co było sztuką nie lada, gdyż te bywały ręczne, kieratowe, parowe i czterokonne. Ale siewniki? Czy pan Bałutka się nie pomylił? Nie, pomyłki nie ma. W muzeum odnalazł perłę — kalendarz-curiosum z 1914 roku. W tym kalendarzu siewnik na rysunku jak żywy — z adnotacją, że fabryka w Kutnie jest gotowa przyjąć zamówienia na rewelacyjną machinę do siania, najnowszej budowy...

Sprostowanie:

siewnik wyprodukowano, zgoda, lecz tylko jeden egzemplarz pokazowy. Na rysunku widniał prototyp, dzieło inżyniera Sikory. Fabrykant zaprosił fachowca aż z Czech. Inżynier przybył koleją wiedeńsko-warszawską i zmontował mieszańca z siewników czeskich i niemieckich. Takie skrzyżowanie, albo hybryd, znamy to, znamy... Ale nawet, gdyby produkcja siewników ruszyła w tym momencie, to i tak bylibyśmy z nią spóźnieni o jeden wiek. Taka już nasza dola.

Nic z tego zresztą nie wyszło. Plany schowano do szuflady, któżby sobie wtedy głowę łamał maszynami do siania. Po to stworzono chłopu rękę, żeby nią siał. Do czorta z siewnikami. A co z obywatelami ziemskimi? Czyż pod Kutnem na pszenno-buraczanej ziemi nie mrowiło się od posiadłości? Piękne to były majątki, dziedziczne, dorobkowe, jakie chcecie. Owszem, piękne, ale z pozoru. Skrzynia pusta i lichwiarz z wekslem przy wrotach. Obywatele, pany malowane, słów szkoda, gdzie im tam było do maszyn. Za co?

Siewnik 13-rzędowy kosztował 885 złotych, 17-rzędowy 1.135 złotych.

To fakt, widziałem na własne oczy prospekt reklamowy z 1932 roku, ceny były wypunktowane tłustym drukiem, czarno na białym.

Ekonom gnał więc w pole gromadę „fornali" z płach tamij na brzuchu. Ci siali „postępowo", krok za krokiem z powagą wielką i namaszczeniem. Czynność to wszak święta — siać boże ziarno, nawet jeśli ziarno było dziedzica. Ejże, po kiego licha ta przesada? Siewniki trafiały przed wojną nawet pod strzechy. Czasem i chłop kupił siewnik. Prawda, kupił, ale ilu było takich chłopów. Ilu?

Było ich tak mało, że właściciel kutnowskiej fabryczki nigdy nie odważył się na produkcję siewników.

Znalazł się i bez tego w takich tarapatach, że pan Bałutka wspomina o nim z pewną nutką sympatii:

— Nie dawał rady, szarpał się, szarpał, no i zbankrutował. Plajta na całego. Polska była zalewana przez dobre maszyny zagraniczne. Wpierw przyszedł zastój w interesach, potem bankructwo. Jeden wielki obłęd. Po

Dalszy ciąg na str. 3

25. III. 1964

Schiller, rewolucjonista polityczny i rewolucjonista myśli teatralnej oddał Łodzi ze swego życia trzy niezwykle płodne artystycznie okresy. Lata: 1929, 1938–39 i 1946-49. Najpierw w Teatrze Miejskim, dzisiejszym Teatrze im. Jaracza, pokazał niezapomniane spektakle sztuk Brücknera, Wolffa, Haszka, potem pamięci naszej przekazał wielkie dzieła myśli reżyserskiej i inscenizatorskiej naszych, do dziś współcześnie brzmiących narodowych dramatów Krasińskiego i Słowackiego – „Nie-boską" i „Kordiana". Wreszcie w czasie ostatniego pobytu w naszym mieście uczynił Łódź ośrodkiem teatralnym promieniującym na cały kraj. Tu założył szkołę aktorską, czasopismo teatralne, tu przez trzy sezony kierował sceną łódzką, pozostawiając nieporównywalne w swej doskonałości artystycznej i urodzie teatralnej inscenizacje tak odmiennych dzieł jak: „Burza" Szekspira, „Igraszki z Diabłem" Drdy, „Na dnie" Gorkiego, „Celestyna" Rojasa czy „Krakowiacy i górale".

Jego intelekt i ręka teatralnego geniusza potrafiły w błahostki nawet i – zdawałoby się – zakurzone ramotki jak np. Krumłowskiego „Królowa Przedmieścia", tchnąć życie sceniczne i odziać je w świetny blask. Teatr Schillera, wielki teatr, pozostał jednocześnie teatrem powszechnym, prawdziwie ludowym, podając widzowi w bogatych formach lecz w sposób jasny i precyzyjny, wagę idei dzieła literackiego.

Łódzki Teatr im. Jaracza, odsłaniając tablicę pamiątkową ku czci Leona Schillera, święci w ten sposób pamięć wielkiego człowieka teatru naszego półwiecza, łącząc ten dzień z obchodem Światowego Dnia Teatru, święta sztuki dramatopisarskiej, święta aktorstwa i plastyki teatralnej; sztuki międzynarodowej i międzyludzkiej, obalającej wszelkie zapory, budującej więź powszechnego zrozumienia.

Tak ideę internacjonalnego teatru rozumiał Schiller, tak ją pojmują jego uczniowie i spadkobiercy; tak jak i inni współcześni mu wielcy ludzie teatru Jean Cocteau, Jean Vilar, Jean Luis Barrault, Laurence Olivier.

„... wiele niezgody i waśni powstaje z powodu oddalenia od siebie myśli ludzkich i z powodu barier językowych, których pokonanie stawia sobie za cel cały wielki aparat teatralny. Dzięki światowym Dniom Teatru narody zdadzą sobie sprawę z bogactw jakie posiadają i zaczną współpracować w wielkim przedsięwzięciu, którego celem jest pokój".

JEAN COCTEAU

„Jest zadziwiające, iż w dobie dzisiejszej, gdy świat polityczny zdaje się być na zawsze podzielony na dwie części, sztuka, a zwłaszcza teatr, dowodnie okazuje swą najgłębszą tożsamość i powszechność w świecie."

JEAN VILAR

„Wystarczy podróżować po tzw. „obcych" krajach, by zauważyć jak dalece teatr okazuje się własnością międzynarodową. Czy chodzić tu będzie o klasyków takich jak Sofokles, Szekspir, Molier, czy o komedię dell'arte – autorzy, aktorzy i animatorzy są tylko zawiadowcami wspólnej dziedziny, należącej do całego świata. Pochodzi to stąd że, jak się zdaje, nie ma w teatrze przedziału w istniejącej odległości między gestem i słowem, między wzrokiem i słuchem. Nasza sztuka to przede wszystkim zjawisko magnetyczne. Jeśli w teatrze scenę obserwuje nasze oko, to naprawdę widzenie i czucie odbywa się w naszych sercach, a potem zrozumienie w naszych mózgach.

Ponad słowami spotyka się zmysłowa potęga Brechta, Claudela, teatru Dalekiego Wschodu czy Szekspira, by uderzyć do serc wszystkich ludzi i przeniknąć do nich".

BARRAULT

„Cieszy nas, że Szekspir stał się własnością całego świata, iż nieuchronnie ogłasza się go za prawego przodka wszelkich nowych tendencji w dramacie. Cieszymy się też, że przyjęli go za swego ludzie wszelkich narodów i wszelkich poglądów i że nikt, poddając przeglądowi całość jego dzieła, nie nazwał go nigdy zakamieniałym reakcjonistą. Ten który napisał „Henryka V" napisał także „Troilusa i Kresydę"; ten który napisał „Romea i Julię" napisał też „Miarka za miarkę". W ciągu czterystu lat nasz Szekspir stał się waszym Szekspirem.

SIR LAURENCE OLIVIER

A oto fragment orędzia Międzynarodowego Instytutu Teatralnego.

„... ostatecznym celem teatru jest zawsze sprawiedliwość. Na scenie ścierają się wśród rozpasanych namiętności mordercy i ofiary, atak i obrona. Każdy widz jest sędzią przysięgłym, a samo życie w swej potędze i równowadze przewodniczy w tym obrachunku i każe podnieść się rozumowi, zrozumieniu i zdrowiu. Istotna potęga teatru to zdolność zburzenia wszystkiego, co dzieli ludzi – różnic rasowych, różnic w wychowaniu religijnym czy politycznym, wreszcie różnic językowych. Z drugiej strony teatr akcentuje wszystko, co jest wspólne ludziom: śmiech i łzy, radość i smutek, szczęście i troskę – krótko mówiąc wszystko co płynie z serca. W teatrze ukazuje się serce wspólne wszystkim ludziom i dlatego stanowi on jeden z najbardziej skutecznych instrumentów działania na rzecz pokoju."

ROD PROROKÓW PIENIĄDZA

Pieniądz jest bogiem naszych czasów Rotszyld jest jego prorokiem

H. Heine (podobno)

Gdy punkt ciężkości światowych finansów przesuwał się z Londynu do kraju Jankesów w Nowym Jorku zabrakło Rotszylda. Rotszyldowie zostali w Europie, swe nadzieje wiązali ze Starym, a nie z Nowym Światem, trzymali się więcej dworów niż „businessmenów", więcej giełdy niż przemysłu. Zdobyli honory, wpływy. Nie zdobyli nigdy miliardów du Ponta, ale zdobyli dostatecznie dużo. Przez lata żyli w cieniu, ukryci za kotarą złota, którą zaczął tkać Mayer Anzelm Rothschild.

Młody Anzelm miał zostać rabinem, więc uczonym. Uczęszczał do rabinackiej szkoły w Fuerth. Los rzucił go jednak do Hanoweru, gdzie wykształcił się w rzemiośle bankierskim. Potem osiadł we Frankfurcie nad Menem, otworzył kantor wymiany, nie gardził niczym, co rodziło pieniądz, nie gardził też lichwą. Z komisanta i wekslarza przeobraził się w bankiera o ustalonej renomie.

W 1800 roku, kiedy pierwszy du Pont stanął na amerykańskiej ziemi, pierwszy Rotszyld stanął na książęcym dworze.

Anzelm stał się nadwornym agentem elektora heskiego Wilhelma I. Gdy zwycięskie pułki Francuzów wdarły się do Hesji, elektor ogarnięty paniką czmychnął za granicę, oddał cały majątek pod opiekę Rotszylda. Mayer Anzelm nie zawiódł. Opowiadano później, że bronił książęcych dóbr z narażeniem życia.

Bóg obdarzył bogobojnego Anzelma pięcioma synami. Anzelm pokierował bankiem we Frankfurcie, inni synowie założyli domy bankowe w Londynie, Paryżu, Wiedniu i Neapolu. Kalman, Salomon, Jakub, Nathan. Z błogosławieństwem ojca ruszyło w świat 4 młodych i bardzo sprytnych ludzi. Bracia rozwinęli nieprawdopodobną aktywność. Wszędzie ich było pełno, wiedzieli o wszystkim. Spostrzegli, że decydującą rolę w życiu bankiera odgrywa szybka i pewna informacja. Pocztowo-kurierski wóz Rotszyldów był najszybszy na kontynencie. Stali się najlepiej poinformowanymi ludźmi w Europie.

Największy spekulant wszystkich czasów – tak nazwano później Nathana z Londynu. Przez swych gońców na rączych koniach, on pierwszy złapał słuch o klęsce Napoleona pod Waterloo. Pojął w jednej chwili, że opatrzność zsyła mu szansę, która zdarza się tylko raz w ciągu wieku. Chwycił tę szansę za rogi. Angażując wszystkie środki, jakimi dysponował, Nathan dokonał „skoku" na londyńską giełdę. Przeprowadził operację o charakterze precedensu, która przeszła do historii. Stworzył pierwowzór po dziś dzień powielany z różnym skutkiem przez bankierów wszystkich kontynentów.

Pod Waterloo Napoleon odegrał ostatni akt na europejskiej scenie. Nathan dowiedział się o tym przed innymi. Nim ktokolwiek połapał się w sytuacji, Nathan wykupił z szybkością błyskawicy góry papierów i akcji, które już następnego dnia miały podwoić swą wartość. Przecież otworem stanęły kraje Europy. Kontynent europejski, rozwarł swe wrota dla penetracji angielskiego przemysłu. Ten przemysł miał się rozwinąć po napoleońskich wojnach jak nigdy przedtem i już nigdy potem.

Rotszyldowie podjęli teraz gorączkową działalność na wszystkich frontach. Udzielali pożyczek cesarzom i królom, żyli z możnymi tego świata na przyjacielskiej stopie.

Pomyśleć, Habsburgowie na dworze których panował ostry antysemityzm, ci Habsburgowie już w 1822 roku przyznali wszystkim Rotszyldom tytuły baronów. Wiedeń tylko pominął Nathana w Londynie. Głupstwo. Nathaniel, wnuk Nathana, został lordem. Potomek Nathaniela w prostej linii, Victor de Rothschild, jest dziś również lordem, jest również aktywnym działaczem angielskiej Partii Pracy (Labour Party)... Baron Rotszyld w Paryżu sfinansował podbój Algieru przez Francję. Lord Rothschild w Londynie pomógł Anglikom w zawładnięciu Kanałem Sueskim. Premier Disraeli był intymnym przyjacielem Lionel Rotszylda. Kiedy „Dizby" (Disraeli) poprosił Lionela o 19 milionów funtów szterlingów na wykup akcji Kanału Sueskiego, Rotszyld nie mrugnął nawet okiem. Hm, kanał na drodze „imperialnej" do Indii? Proszę bardzo, kupuj ten kanał od egipskiego „khediva", co jest dobre dla Anglii, jest również dobre dla Rotszyldów. Londyński bank Rotszyldów poparł też Cecil Rhodesa mitycznego konkwistatora XIX wieku. Rhodes zdobył dla Wielkiej Brytanii nie tylko Rodezję, zdobył przede wszystkim złote i diamentowe pola koło Johannesburga i Kimberley. Rhodes był widoczną sprężyną wojny angielsko-burskiej. Ukrytą sprężyną, daleko potężniejszą byli Rotszyldowie. W rękach potomków Anzelma z Frankfurtu spoczywa do dzisiaj klucz do trestu „De Beers", który kontroluje kopalnie złota i diamentowe „veldy" w Afryce Południowej.

Cichy podbój Europy trwał i trwał. Zdawało się, że bliski jest dzień triumfu rodziny bankierskich Medyceuszów. Zmieniło się, i to zupełnie nieoczekiwanie. Pierwsza wojna światowa zadała Rotszyldom cios, z którego już się nie podnieśli. Z cesarzem i kaizerem runęły marzenia złotych baronów. Zorganizowane po wojnie wszechpotężne banki państwowe dopełniły reszty. Nastąpił okres prostracji i skarlenia.

Na Europę padł długi cień dolara. Nie frank rozstrzygał i nie funt, lecz dolar rozstrzygał. A w Nowym Jorku, współczesnym Babilonie, nie było ani jednego Rotszylda. Ostateczną zagładę chcieli zgotować Rotszyldom hitlerowcy. Amerykański tygodnik „Time" podaje, że Niemcy uprowadzili barona Louis de Rothschilda prosto od stołu w wiedeńskim pałacu, do więziennej celi. Minął rok. Barona odwiedził w celi Himmler. Nastąpiła dramatyczna rozmowa w cztery oczy. Hitlerowcy gwałtownie potrzebowali złota dla sfinalizowania swych celów. Rotszyld pragnął wolności. Okupił ją całym swym majątkiem. Wyjechał wprawdzie do Vermont, ale bank Rotszyldów w Wiedniu przestał egzystować na zawsze.

Wydawało się, że dom Rotszyldów w Paryżu także nie podniesie się z ran zadanych przez hitlerowską okupację. W uszach Morgana, du Ponte'a, innych amerykańskich dorobkiewiczów, Rotszyld był szyldem, dzwonem, tradycją. Rotszyldowie byli potrzebni jako mit, legenda, niezachwiana wiara w cudowną moc pieniądza. Miernikiem wartości jest tylko „money", wszystkie inne mierniki są względne, subiektywne. Amerykanie pomogli Rotszyldom, udzielili im bardzo wysokich kredytów. W sercu londyńskiej City wyrasta dziś nowoczesny bank, który ma być symbolem renesansu rotszyldowskiego klanu. I chyba jest. A na czele dynastii Rotszyldów stoi baron Guy Edourd Alphonse Paul de Rotschild, 54-letni zgrabny, wysportowany, elegancki mężczyzna.

Jak za dawnych, dobrych czasów agenci Rotszyldów znów przemierzają bliskie i dalekie kraje. Zakładają hotele, domy turystyczne, zwykłe restauracje. Wszystko jest dobre, co przynosi zysk. Stary klan podjął pod kierunkiem zręcznego Guy'a budzącą zdumienie ekspansję. W ciągu niewielu lat zdołał podporządkować sobie 100 wielkich firm na 6 kontynentach. Rotszyldowie nie popełniają już dawnych błędów. Zwrócili oczy na Kanadę, Chile, Mauretanię, finansują wiercenia na Saharze. (Guy and Co). Zawładnęli gigantycznym trestem naftowym „Royal Dutch Shell". Zmienili jednak taktykę. Nie montują nowych towarzystw. Zgłaszają akces do firm już założonych, rezerwując sobie miejsca w zarządzie. Przy minimalnym wkładzie finansowym, zapewniają sobie maksimum wpływów.

Rotszyldowie to dziś Victor, Edmund, Jakub, Leopold, Evelyn w Londynie oraz Guy, Alain, Elie, Edourd w Paryżu. Pałace w których raczą przebywać wszyscy ci lordowie i baronowie, to na dobrą sprawę muzea sztuki. W jednej siedzibie jednego Rotszylda więcej na ścianie Rubensów i Rembrandtów, niż we wszystkich muzeach w całym naszym kraju. Nikt nie może dokładnie ocenić majątku tej rodziny, choć wynosi on prawdopodobnie miliard dolarów.

Najbardziej barwną figurą spośród dzisiejszych Rotszyldów jest Guy z Paryża, który jak się zdaje, hołduje amerykańskiej zasadzie – Głowa jak spadochron, działa gdy otwarta – Monsieur Guy kocha piękne panie, kocha też piękne konie. Pierwszą żonę rzucił dla prześlicznej 32-letniej zielonookiej Marie-Helene, delicieuse... Wspaniały jest też ogier „Exbury", który wygrał Prix de L'Arc. Ten ogier przyniesie w tym roku baronowi 240.000 dolarów. „Exbury" pokryje 40 klaczy, to jego roczna norma. Za każdy „skok" ogiera, Rotszyld weźmie 6.000 dolarów. Taka jest cena dobrej krwi. Guy de Rotschild człowiek o wszechstronnych zainteresowaniach, snuje też dalekosiężne plany. Rąbek tajemnicy odsłonił grudniowy „Time". Wiadomość jest zadziwiająca. Dwie najpotężniejsze odnogi klanu Rotszyldów zlały się, po półwiecznej separacji, w jednolite konsorcjum o enigmatycznie brzmiącej nazwie. – „Second Continuation Ltd". Konsorcjum ma włączać się do akcji natychmiast po przystąpieniu Wielkiej Brytanii do Wspólnego Rynku.

Czyżby legendy akt drugi? Może to Rotszyldowie dowiedzą się pierwsi o momencie wejścia Wielkiej Brytanii do Wspólnego Rynku? Przecież Anglia nie ustaje w wysiłkach. Dąży krok za krokiem do złamania barier celnych wokół Europy, tak jak kiedyś łamała kontynentalną blokadę Napoleona. Francuski premier Pompidou jest częstym gościem monsieur Guy'a. Jak nie Pompidou, to były premier Debre, co rusz to jakiś wybitny polityk wpada do pałacu Rotszyldów w Ferrieres. Lord Victor w Londynie, baron Guy w Paryżu, może to oni stojąc za kulisami, uderzają w jakieś ukryte klawisze?

To oczywiście spekulacja myślowa.

Odszedł Irenee du Pont, który był więcej wart w złotych dolarach, niż wszyscy Rotszyldowie razem wzięci. Był, ale go już nie ma. A Rotszyldowie zostali są jak zawsze prężni, dynamiczni, żywotni. Co dwa lata zawierają nowe małżeństwo, dbają by po ojcu syn wstępował na rodzinny piedestał. Monsieur Guy postarał się nawet o dwóch synów.

Rotszyldowie nie zmienili się na jotę. Ich żywiołem był, jest i pozostanie pieniądz. Ponoć Cycero powiedział kiedyś, że nie ma twierdzy, której by nie można było zdobyć przy pomocy pieniędzy. „Second Continuation Ltd" – ta korporacja ma w stosownej chwili wynieść Rotszyldów na same szczyty potęgi. De Gaulle nie jest przecież wieczny. De Gaulle'owie przychodzą i odchodzą. Ale forsa ukryta za symbolem Rotszyld zostaje. Rotszyldowie liczą, że pewnego dnia padnie im do nóg twierdza Wspólnego Rynku.

JAN BĄBIŃSKI

POLONICA

ST. KASZYŃSKI W PISMACH AUSTRIACKICH

W numerze 9 „linz-aktiv" (pierwszy kwartał b. roku) ukazał się przekład reportażu Stanisława Kaszyńskiego pt. „Linz", który publikowany był na łamach „Odgłosów" we wrześniu 1963 roku. W artykuł włamano fotokopię tytułowej strony „Odgłosów".

W czasopiśmie „Osterreichische Osthefte" (Wiedeń) opublikowano szkic Stanisława Kaszyńskiego pt. „Życie teatralne w Polsce współczesnej", który następnie ogłoszony został w oddzielnej odbitce jako tzw. Sonderdruck.

GŁOSY O KSIĄŻCE OSSOWSKIEGO

Dotarły do nas recenzje o wydanej w NRF książce Stanisława Ossowskiego „Struktura klasowa w społecznej świadomości". Książka ta, która ukazała się w tłumaczeniu Sophie Schick-Rowińskiej, zdobyła sobie pozytywne oceny fachowców. Oto kilka zdań z recenzji w poważnych pismach, poświęconych zagadnieniom socjologii i literatury: „Szczególna wartość tej książki leży w tym, że integruje ona zachodnie i wschodnie sposoby podejścia do zagadnienia, co, jak się wydaje, możliwe jest jedynie z polskiego punktu widzenia." I jeszcze jeden cytat: „Znakomita analiza wszelkich aspektów klasowości, jaką daje Ossowski w żadnej dyskusji nie może już być pomijana." A więc – całkiem nieźle.

KARIERA KSIĄŻKI JANA KOTTA

„Szkice o Szekspirze" Jana Kotta robią furorę w Europie zachodniej. Po ukazaniu się w przekładach na angielski (z przedmową Peter Brooka) i francuski (nagroda za najlepszą książkę cudzoziemską roku, wydaną we Francji), książka Kotta pojawiła się obecnie w tłumaczeniu niemieckim pt. „Shakespeare heute" (Szekspir dzisiaj), nakładem Langen Muller w Monachium. W dzienniku „Die Welt" (14 marca br.) ukazał się duży rozdział z tej książki, poprzedzony krótką notą, w której czytamy, że „do najważniejszych publikacji roku szekspirowskiego należy z pewnością praca młodego Polaka, Jana Kotta".

POLACY W LEKSYKONIE NIEMIECKIM

W NRD (nakładem Volksverlag Weimar) ukazał się „Lexikon der Weltliteratur", obejmujący pisarzy obcych od czasów starożytnych aż do teraźniejszości. Z literatury polskiej uwzględniono następujące nazwiska: Kochanowski, Krasicki, Fredro, Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, Kraszewski, Orzeszkowa, Konopnicka, Prus, Sienkiewicz, Zapolska, Żeromski, Reymont, Rudnicki Lucjan i Adolf, Nałkowska, Dąbrowska, Iwaszkiewicz, Tuwim, Parandowski, Broniewski, Kruczkowski, Jastrun, Newerly, Gałczyński, Andrzejewski, Putrament, Lem.

Zwraca uwagę brak nazwisk znanych i tłumaczonych na języki obce innych autorów polskich jak np. Kazimierza Brandysa, Stanisława Dygata i Tadeusza Różewicza.

PROF. J. TOEPLITZ W ZURYCHU

W cyklu odczytów o polskiej kinematografii, zorganizowanych w ramach Tygodnia Polskich Filmów w Zurychu, rektor Wyższej Szkoły Filmowej w Łodzi, prof. Jerzy Toeplitz mówił do licznie zebranych słuchaczy o polskiej produkcji filmowej w latach ostatnich. Odczyt spotkał się z żywym zainteresowaniem, szwajcarskich słuchaczów podobnie zresztą jak i filmy, w czasie tego Tygodnia wyświetlane, które oceniono bardzo pozytywnie.

HISTORIA POLSKI W USA

Żyjący od lat w Stanach Zjednoczonych historyk polski Oskar Halecki, przedstawiciel tzw. konserwatywnej szkoły historycznej, ogłosił w języku angielskim „Dzieje Polski", obejmujące tysiąc lat naszego istnienia. Autor bardzo obszernie i szczegółowo potraktował okres od początków państwa polskiego do czasu rozbiorów, natomiast okres rozbiorów i epokę późniejszą zaledwie naszkicował. Może to i lepiej, gdyż jego interpretacja dziejów najnowszych pozostawia wiele do życzenia.

GRAŻYNA BODZIOCH

WIELKA SZANSA ISTNIEJE NADAL

Wypowiedzi członków świetlicy w ankietach ogłoszonych przez opiekunów z komitetu blokowego można z grubsza podzielić na dwie części. Pierwsza dotyczy tego co złe — a co wszyscy traktują jako przeszłość. Druga to plany i marzenia dotyczące przyszłości. Teraźniejszości doszukać się trudno, bo też jest ona bardzo skomplikowana. A nie ma mowy o jej zrozumieniu (choćby pobieżnym) bez zapoznania się z tym, co ją poprzedziło i co ewentualnie z niej wyniknie...

„Chcę wstąpić do świetlicy dlatego, żeby ten wolny czas spędzić przyjemnie i nie być szarpany przez organy MO jak to mi się dość często zdarzało. Mam zawieszenie i kuratora". *)

„Przebywałem na poczekalni z kolegami były takie zdarzenia, że koledzy doprowadzali mnie do wybryków chuligańskich, które kończyły się dla mnie klęską".

„Siedząc w domu z nudów chodziłam do kina i do parku oraz do kawiarni to było moją jedyną rozrywką".

„Porą zimową przebywałem na poczekalni przy ul. Północnej. Nie mieliśmy tam żadnego innego zainteresowania jak wszczynanie awantur i różnych wybryków huligańskich. Bardzo durzo młodzierzy zostało zamknięte w zakładach karnych jak i więzieniach".

„Włóczyłem się po ulicach wystawałem po bramach często też wchodziłem w konflikt z milicją".

„Świetlica dała mi schronienie przed pałkami milicyjnymi, przed zakładami poprawczymi".

„Czas wolny spędzałam na ulicy".

„Przebywałem na poczekalni z młodzieżą, której większość była karana sądownie. Wynikało to z tego, że nie mieliśmy zainteresowań kulturalnych. Na tejże poczekalni żyliśmy pod strachem MO".

Nie ma chyba potrzeby cytować dalszych wypowiedzi, których jest ponad sto. Ich autorzy to młodzież ze śródmieścia Łodzi, z najuboższych robotniczych rodzin. O takiej młodzieży nauczyciele w niższych klasach mówią „trudna", przechodnie z parku Śledzia — „chuligańska", natomiast prawnicy, z którymi większość tych młodych spotykała się na salach rozpraw używają w stosunku do nich takich określeń jak „oskarżeni", „podsądni", a niekiedy do starszych chłopców — „więźniowie".

Poczekalnia, o której mowa w ankietach mieści się przy ulicy Północnej. Od lat była tam stała melina chuliganów z całej dzielnicy. Poczekalnia jest bowiem obszerna, ciepła a sprzedawczyni kiosku z piwem przez całą dobę ma w beczkach pełne jasne. Są też jeszcze podmiejskie tramwaje, które przy Północnej rozpoczynają swój bieg. Wytwarzają ledwie uchwytny miraż podróży, choćby do Zgierza, ale jednak...

Przed rokiem od stałych bywalców poczekalni oderwała się nieliczna początkowo „frakcja". Wkrótce rozrosła się i przyciągnęła większość młodzieży z pobliskich domów. Tramwajowa krańcówka przestała być wtedy codzienną zmorą milicjantów, przechodnie z parku Śledzia odetchnęli...

Tymczasem członkowie „frakcji" przy pomocy dorosłych podstępem zdobyli opuszczony lokal po świetlicy w pobliskim browarze. W ciągu roku stworzyli tam zwartą grupę, która kieruje się ustalonym przez wszystkich regulaminem, ma wiele planów i marzeń, ma też pewne osiągnięcia... Ale trzymajmy się naszej początkowej chronologii wydarzeń...

„Chciałbym żeby na świetlicy były gry i często urządzane wieczorki taneczne".

„Trzeba więcej rozrywek np. gry takie jak tenis stołowy, bilard, karty do brydża".

„Chciałbym, aby na naszą świetlicę zostały wprowadzone kursy radiotelewizyjne".

„Swietlica powinna mieć własne instrumenty muzyczne, bo jest wielu chętnych do nauki".

„Była zorganizowana wycieczka do Trójmiasta ale w autokarze zmieściło się tylko 30 osób. Chciałbym, aby były wycieczki dla wszystkich".

„Pragnę kursu samochodowego".

„Chcę aby chłopcy nie grali przy nas ciągle w karty odzywając się przy tym niegrzecznie. By przychodząc nie używali alkoholu, lecz byli grzeczni dla nas".

„Jest regulamin przybity na ścianie, niech samorząd nie śpi tylko przestrzega regulaminu".

„Przyszłość świetlicy widzimy..."

„Żądam kółka fotograficznego".

„Nasz zespół artystyczny powinien mieć jednakowe stroje"

„Śmaja", „Kuba", „Kindzio" są członkami zarządu świetlicy byłych chuliganów (jak chętnie się nazywają).

Mówią o początkach, to znaczy o powstaniu „frakcji".

— Przyszedł opiekun z bloku, po tym jak MO zabrało kilku naszych. Powiedział, że jest wolne lokum, tylko trzeba się wkupić — dekoracje na 1 Maja zrobić.

— Czemu nie, może się i zrobi...

— Ale z zachowaniem też musi być fair, wedle regulaminu...

Wtedy część chłopaków tylko się roześmiała.

— Co my, dzieci?

— Może będzie adapter, sala w sam raz na ubawy...

No to poszliśmy zobaczyć. „Klajniak", „Mucha", „Lysy", „Bamba", „Pudło", „Brygida"...

— Dziewczyna?

— Gość, tylko kindziorowaty blondyn.

— Acha.

— Dziewczyny nazywają się zwyczajnie — Zośka, Magda, Bacha...

— Potem wybraliśmy zarząd i ustaliło się regulamin. Dziewczynom nie wolno palić w świetlicy.

— A panom?

— Gościom wolno... To co innego.

W regulaminie przewidziano, że praca świetlicowa rozpoczyna się już o 10 rano. Większość członków świetlicy ma wolny czas przez całą dobę. Takich, którzy nie pracują i nie chodzą do szkół jest tam kilkudziesięciu.

Mają tylko świetlicę. W niej cała nadzieja na ich powrót do społeczeństwa do ludzi użytecznych. Ale ta powtórna adaptacja wykolejonych chłopców nie jest łatwa. Środowisko, z którego pochodzą to resztki łódzkiego lumpenproletariatu, ich rodzice są najczęściej niewykwalifikowanymi robotnikami sezonowymi. Wielu z nich pochodzi ze wsi i jeszcze nie zaaklimatyzowało się w Łodzi. Nie można spodziewać się po nich żadnej pomocy. Swoje dzieci wychowują podobnie, jak sami byli wychowywani. Zasada, że „młodzież musi się wyszumieć" panuje tam powszechnie. A jeśli przy tym „szumieniu" bardziej krewki nastolatek wybije koledze oko, albo porani przechodnia w ciemnej ulicy, to i cóż? Zdarza się...

Swietlica ma dla chłopców znaczenie wyjątkowe. Jest ich domem, szkołą, zakładem pracy. Wielką szansą do wygrania.

Nasza rozmowa zboczyła na inne tory.

— Bo my jesteśmy artyści. Prawie wszyscy. Żeby pani słyszała jak gra nasz zespół rozrywkowy: Dawaliśmy już występy na zewnątrz, oklaskiwano nas...

Chuligani — artystami. Takie hasło wymyślili dla nich opiekunowie z komitetów blokowych. Stało się ono magnesem przyciągającym wielu młodych.

— Jesteście świetni — orzekli opiekunowie już na pierwszych próbach zespołu muzycznego. Będziecie grać na płatnych zabawach, w ten sposób zarobimy na potrzeby świetlicowe.

Od tego się zaczęło. Chłopcy uważają się za artystów. Wszystko co nie jest związane z zespołem muzycznym czy nawet zwykłą zabawą taneczną straciło dla nich znaczenie.

Tymczasem sława „chuligańskiej świetlicy" dotarła do Prezydium DRN, które bardzo przychylnie ustosunkowało się do chłopców. Odbyła się tam nawet narada, na którą przyszli członkowie zarządu świetlicy i jej dorośli opiekunowie. Dziwna to była narada.

Młodzi żądali: strojów dla zespołu, instrumentów, pieniędzy... Starsi przytakiwali im i wydziwiali, że całe społeczeństwo Polski Ludowej powinno zrozumieć wszystko, co dzieje się w świetlicy, to dla ojczyzny. Na jej to chwałę byli chuligani grzecznie tańczą i grają. No i na chwałę ich, działaczy, którzy umieli poradzić sobie z tak trudnym elementem jak członkowie świetlicy. Mamy miejsce na ordery... dawali do zrozumienia działacze wypinając klapy marynarek...

Wielka Szansa powoli traciła wyjątkowe znaczenie, zniżyła się do poziomu Klubu Grzecznych Chłopców z Dobrych Domów (gdyby taki istniał).

Kiedy zaproponowano chłopcom pedagoga, który przygotowywałby ich do egzaminów w 7 klasie — zachowali pełne zdumienia milczenie. Z rezerwą odnieśli się też do propozycji zorganizowania konsultacji dla zespołu muzycznego przez członków orkiestry Filharmonii Łódzkiej.

Ich opiekunowie również nie byli zachwyceni.

— Jeśli do świetlicy wprowadzi się naukę, to przestaną tam przychodzić... powiedzieli.

Ale wtedy w chłopakach, którzy własne zdania dostosowywali dotąd do zdań opiekunów — zrodził się duch zdrowego rozsądku.

Nie! tak to znów nie będzie... Przyzwyczaimy się...

— Na poczekalni przy Północnej zamknęli jeden pawilon...

— I chłodno tam jakoś, piwo coraz gorsze.

— Niech już lepiej będzie ta nauka...

Wielka Szansa istnieje więc nadal.

*) Cytujemy wg. oryginalnej pisowni, aby dać pełniejszy obraz autorów tych wypowiedzi.

Wyrok na siewcę

JAN BABIŃSKI

Dalszy ciąg ze str. 1

1920 roku zawiązała się spółka akcyjna, ona też kulała na wszystkie nogi. Nie było zbytu na maszyny, spółka też nie dawała rady. A wie pan dlaczego fabryka już wtedy nazywała się „Kraj"?

Nie miałem pojęcia.

— Chciano już samą nazwą wykazać, że maszyny pochodzą z „Kraju", są krajowe. Dobry obywatel miał patriotyczny nakaz popierać wyrób krajowy. Trąbiono o tym na wszystkie strony, dużo to komu pomogło...

Z dawnej fabryki, która wyglądała jak ubiegłowieczna manufaktura, pozostała nazwa i nic więcej. Dzisiejszy „Kraj" to kolos, jeden z największych zakładów sprzętu rolniczego w Europie. „Krajowi" dano przed laty carte blanche — specjalizujcie się. Kartę już zapisano. Fabryka wyrabia siewniki, nic innego jak tylko siewniki. No i zrodziły się nowe kłopoty, choć innej zupełnie natury. Dwa lata temu CRS „Samopomoc Chłopska" złożyła ofertę:

— Jesteśmy gotowi podpisać z wami długoterminowy kontrakt na dostawę 60 tysięcy siewników rocznie.

Dyrektor zajrzał do wskaźników, raportów, planów i odpowiedział:

— Żałuję, nie damy rady...

Tego zamówienia nie można byłoby zrealizować nawet w roku bieżącym, który jest rokiem niebywałego urodzaju na siewniki. „Kraj" dostarczy 40 tysięcy siewników, ilość rekordowa. W gruncie rzeczy mało, za mało jak na potrzeby. Prawie 30 procent ziemi ornej trzeba będzie obsiać tej wiosny jak za Piasta i Sasa, przeto ręcznie, to jest rzutowo — jak zwykli mówić spece. Uwaga, dni tysięcznoletniej płachty z sukna grubego są policzone. Zniknie z pól w szczytowym roku „milleniowych" obchodów. „Kraj" zamelduje krajowi na dożynkach w 1966 roku:

— Produkujemy 70 tysięcy siewników rocznie, starczy dla naszych wiosek, zostanie nadwyżka na eksport...

Kosztem 100 milionów złotych rosną w Kutnie olbrzymie hale.

Decyzja o rozbudowie fabryki „Kraj" urasta do wymiarów wydarzenia. To ważny etap, być może punkt zwrotny w mechanizacji rolnictwa. Znowu przesada Czyżby siew rzutowy był, aż tak niedobry? Czy maszyna musi zastąpić człowieka nawet przy lekkich pracach? Cóż to komu przeszkadza, jeśli siewca rzuca ziarno po roli, aby wzeszło? To misterium, odwieczny obrządek, bez widoku chłopa, który sieje, nie obejdzie się żaden prawdziwy liryk.

Agronom tak na to odpowiada:

— Ręcznie można siać nawet na glebie niedbale zoranej, na której roi się od kamieni, głazów, na polu byle jak przygotowanym. Co innego siewnik. Maszyna nie zasieje niczego na ziemi nierównej, źle uprawionej. Siewnik zmusza niejako do solidnej, porządnej roboty, jest oznaką kultury rolnej. Do tego dochodzą korzyści doraźne, więc oszczędność ziarna, możliwość późniejszych upraw międzyrzędowych, długo by wyliczać. Siewca jest tak samo niepotrzebny w polu, jak chabry i maki w zbożu. Chociaż i one nastrajają romantycznie, są przecież takie ładne...

Doskonale. Ale czy jest w ogóle możliwy mechaniczny siew nasion traw, roślin lekarskich o mikroskopijnej wielkości?

Główny konstruktor fabryki „Kraj" zdawał się czekać na to pytanie. Odpowiedział bez namysłu:

— Nasz 12-osobowy zespół biura konstrukcyjnego opracował już takie siewniki, że można nimi siać wszystkie rośliny drobnoziarniste. Dokładność siewu jest gwarantowana.

Przypomniałem sobie, że pierwszy siewnik zbudował już w 1785 roku Anglik James Cooke i że na dobrą sprawę wszystkie siewniki opierają się na nie zmienionej od tej pory zasadzie. Więc składają się ze skrzynki nasiennej, mieszadła, przewodów, redlic, przyrządów regulujących. Dlatego zapytałem ot tak, trochę z ciekawości, także z przekory:

— Czy siewnik można ulepszać?

Konstruktor spojrzał zdziwiony:

— Pracujemy nad siewnikiem pneumatycznym, który wypróbujemy jeszcze w tym roku. Wirująca tarcza, w niej otwory. Do każdego z nich przyssane ziarenko. Tarcza się obróci, no i w ułamku sekundy ziarenko zostanie strącone, potem następne, i następne. Tym siewnikiem będziemy mogli siać w idealnie równych odstępach także buraki i kukurydzę. Czy można ulepszać siewniki? Co za pytanie! Czy pan sobie zdaje sprawę, ile kosztowało nas trudu zmniejszenie ciężaru siewnika 15-rzędowego z 500 do 308 kilogramów?

Siedzący obok młody inżynier rzucił przez ramię:

— Nasz siewnik jest obecnie o 100 kilogramów lżejszy od siewnika marki „Saxonia". Czy pan wie, co to znaczy?

Mniej więcej. „Saxonia" to fabryka o wielkich tradycjach, znana na szerokim świecie z dawien dawna. W Poznańskiem po dziś dzień używają siewników „Saxonia", choć pamiętają one kaizera „Wilusia". Czyżby sprzęt z Kutna był tak wysokiej klasy, że dorównał, a nawet pod pewnymi względami przewyższył produkty wielkich firm o ustalonej renomie?

Brzmiało to jak anegdotka. Pociąg jechał z Warszawy do Poznania. W jednym z przedziałów rozsiedli się prezesi kółek rolniczych, oraz przypadkowo inżynier z „Kraju". Prezesi wracali z konferencji na szczeblu centralnym. Nie minęło parę minut i wszyscy zaczęli pomstować na rodzimy sprzęt rolniczy. Młocarnie są do niczego, traktory, co rusz, to się psują, opylacze rozrywają się ludziom na plecach. Wielkie rodaków biadolenie, wszyscy są winni, tylko nie my. Inżynier tylko czekał, aż prezesi wezmą na „słowny" warsztat siewniki. Ale nie brali. Więc inżynier nie wytrzymał i sam sprowokował:

— Pewnie i siewniki są złe, co?

Prezesi, którzy wzięli inżyniera za kogoś nieobeznanego z rolnictwem, już mieli przytaknąć, ale rozmyślili się:

— Siewniki? Nie można narzekać, siewniki są dobre...

W fabryce „Kraj" udostępniono mi wykaz reklamacji. Zdumiewająca lektura, dlatego zdumiewająca, że praktycznie nie istniała. Ilość reklamacji wynosi 0,01 procent produkcji fabryki. Jest więc fantastycznie niska. Nie do wiary niska. A może siewniki są tak proste w budowie, że nie ma się w nich co psuć? Usłyszałem, że jeden siewnik składa się z 500—600 części wymiennych...

Na rampie kolejowej w Kutnie stały siewniki — smukłe, lekkie, zwarte w konstrukcji, zawieszone na jednej ramie. Czekały na załadunek. Ponoć z dworca odchodzi teraz, na przedwiośniu, 20 wagonów siewników. A przecież fabryka jest w ruchu, unowocześnia się, staje się imponującą taśmą produkcyjną. Na jednym jej końcu wrzuca się blachy, stal profilową, żeliwo do odlewni, na drugim wyjmuje polakierowane maszyny do siania.

Za rok 75-lecie kutnowskiego „Kraju". Pan Bałutka zyska nową sposobność, by wzbogacić swe notatki. Potem kto wie... Może pewnego dnia ukaże się na polach automatyczny siewnik z elektronowym okiem? Może taki siewnik sam określi głębokość siewu, gęstość, sam będzie się regulował w zależności od warunków? Fantazja? Raczej kwestia czasu.

Byłbym zapomniał.

Czesi wzięli z Kutna kilka siewników na próbę. Spojrzeli — jak to oni — trzeźwym okiem i zamówili 500 sztuk. Pomyśleć Czesi... Inżynier Sikora i te 500 siewników. Zestawienie podnosi na duchu, ma w sobie coś z symbolu.

UROKI KOMPENSACJI

Trwa mecz. Toczy się przed nami. Masowe widowisko naszego czasu. Oglądamy je. Z wypiekami na twarzy. Gryząc paznokcie. Albo zaciskając wargi. Albo krzycząc. Nie podnieślibyśmy głosu gdzie indziej, ale tu, teraz... Wstydzimy się swego krzyku nawet tutaj. Powinniśmy go opanować. Ale nie potrafimy. Tak jak nie potrafimy opanować twarzy i rąk. To podniecenie. Jesteśmy podnieceniem. Czystym, nie skażonym. Już tylko podnieceniem.

Mecz jest nie ładomą. Nie wiemy, kto go wygra. Nie wiemy, jak skończy się ten gem, ten set, ta runda. Chcemy wiedzieć. Chcemy to zobaczyć. Być świadkiem czyjegoś zwycięstwa i czyjejś przegranej. I dlatego gryziemy paznokcie? Nie chcemy krzyczeć i krzyczymy? Krzyczymy aż do ochrypnięcia.

Nie, nie. Tu nie rozstrzygają fabularne wdzięki widowiska. Atrakcyjność poszczególnych perypetii. I to nie sprawa konfrontacji naszych przewidywań z tym, co się zdarzy. W hali, na boisku, na korcie. Ani sprawa ładnego tenisa czy ładnego boksu. Tak, obchodzi nas to. Ale w gruncie rzeczy, z ręką na sercu, niewiele nas to obchodzi. Krzyczymy. Krzyczymy bo jesteśmy zaangażowani. Bo stanęliśmy po czyjejś stronie. Opowiedzieliśmy się. Za kim i przeciw komuś. Utożsamiliśmy się z bokserem, ze środkowym napastnikiem. Z całą drużyną. Jej zwycięstwo jest naszym zwycięstwem. Jej przegrana — nasza przegraną. To my podajemy piłkę, to my mijamy zwodem bramkarza, to nasz sierp trafia w cudze ciało. Czujemy uderzenie. To, któreśmy zadali. Skrzywdził nas sędzia. Ale wygraliśmy. Wygraliśmy! To najważniejsze. Chcemy wygranej. Niech przyjdzie z trudem. Niech będzie to mozolne zwycięstwo. Byleby było zwycięstwem. Musimy wygrać. My! Którzy siedzimy na trybunach stadionu, w ciemnościach hali, w pustym pokoju przed telewizorem.

Identyfikujemy się. Z zawodnikiem, z drużyną. Najczęściej — z tymi, którzy są z naszego miasta. Albo którzy mówią naszym językiem. Identyfikujemy się. W silniejszym, w słabszym stopniu. Nie każdy umiera na atak serca podczas radiowej transmisji. Ale każdy utożsamia się. Prawie każdy. W najgorszym razie — próbuje — czasem mimowiednie — próbuje się utożsamić. Zbliża się ku identyfikacji, ociera się o nią. Tak jak ociera się o nią — co najmniej ociera — niewprawny czytelnik powieści. Albo widz w kinie. Gdy siebie podstawia pod fikcyjnych bohaterów, traktując ich przygody jak swoje własne. Gdy żąda szczęśliwego zakończenia. Bo niepomyślny finał jest jego przegraną. Właśnie — jego. Utożsamiamy się. Identyfikujemy. To klucz do masowości sportowego widowiska. Jeden z wielu kluczy. Utożsamiamy się. Bo jesteśmy ułomni. Nie potrafimy tak grać jak oni grają. Ci na boisku. Tak odbijać piłkę rakietą jak odbija „nasz" zawodnik. I tak boksować. Jesteśmy gorsi. Zdajemy sobie z tego sprawę. I — zazwyczaj — bagatelizujemy naszą „gorszość". Nie przywiązujemy do niej większego znaczenia. Ale wiemy o tym. Jesteśmy „gorsi". Mamy wątłe ramiona, chuderlawe piecy, męczymy się szybko, sapiemy po wejściu na czwarte piętro. A przecież... Przecież chcemy być inni. Chcemy być „lepsi" pod każdym względem. Znakomici, wspaniali. Wiemy, że to nieosiągalne. Puściliśmy więc w ruch mechanizm represyjny. Przeselekcjonowaliśmy nasze pragnienia. Wybraliśmy te, przy których możemy obstawać. Choć i tak są to pragnienia na wyrost. Inne stłumiliśmy. Wyparliśmy z naszej świadomości. Zepchnęliśmy gdzieś — do ciemnych zakamarków umysłu. Nie pamiętamy już o nich. Zapytywani powiemy, że ich nie ma. I nie będziemy kłamać. Niech nikt nie posądza nas o hipokryzję. Jesteśmy szczerzy. Tylko... Tylko nie zdajemy sobie sprawy z tego, co ukryte, niejasne, zatajone. Z tych nierozumnych pożądań, nieocze kiwanych pragnień, ciemnych skłonności. I oto nagle przychodzi mecz. To, co kontrolowane, co trzymane dotąd w ryzach wymyka się naszej władzy. I wtedy zaczyna działać kompensacja. Zaczyna się podstawianie. Nie dostaje nam czegoś. Nie osiągniemy tego już nigdy. Ale możemy to osiągnąć. Za pomocą wyobraźni. Rzutując siebie w kogoś innego. Może to być wielki biegacz, znakomity bokser, doskonały tenisista. Lokujemy się w nim. Wlazimy w jego skórę. Czujemy to, co on czuć powinien. Choćby przez chwilę. Przez kilka minut. Finiszujemy i pierwsi przerywamy taśmę. Nokautujemy przeciwnika. Otrzymujemy złoty medal. Jesteśmy „lepsi". „Lepsi". Uroki, uroki, identyfikacji!

Trwa mecz. Kończy się mecz. Wygraliśmy. Krzyczymy. Podrzucamy marynarki i kapelusze. I wtedy orientujemy się nagle, że to nie my. Nie naszą rękę podnosi sędzia po środku ringu. Nie my zmęczeni zbiegamy z boiska. To ktoś inny. Inna twarz, inne ramiona, cudze ciało... Opada podniecenie. Wstydzimy się go już. Pamiętamy, że krzyczeliśmy. Głupio nam z tego powodu. Chyłkiem wymykamy się na ulicę. Kończą się porywy utożsamienia. Uroki, które są urokami kompensacji.

PS. Redakcja „Odgłosów" udostępniła mi list pani Bożeny Tarnowskiej. List w całości traktuje o moim felietonie „Historia pana A". Zdecydowałem się nań odpowiedzieć w przekonaniu, że pisał go człowiek, o którego bolesne doświadczenia tekst mój w pewien sposób zahaczył. Otóż — przechodząc do rzeczy — pan A z mojego felietonu jest tylko i wyłącznie panem A. Tj. postacią fikcyjną, zmyśloną. Posłużyłem się jej losami — powtarzam: fikcyjnymi losami — dla ilustracji dwu tez. Pierwsza z nich głosiła, że pełna samowiedza jest dla wielu ludzi ciężarem nie do zniesienia. Trudno żyć z pełną samowiedzą. Druga teza natomiast? Druga wyglądałaby mniej więcej tak: sport — sport wyczynowy — stał się w niejednym przypadku powodem udręki. Zapewne, rzadko który zawodnik popełnia samobójstwo ze względu na zawiedzione ambicje. Jednakże wypadki takie — nawet takie wypadki zdarzają się. Zdarzyło się ich kilka poza granicami naszego kraju.

Czy w rzeczy samej „szkalowałem" pana A? Jako autor jestem tu najmniej kompetentny. Mogę powiedzieć tylko tyle, że pisząc swój felieton myślałem o panu A — zmyślonym panu A — z wielką sympatią i z wielkim współczuciem.

* * *

W jednym z ostatnich felietonów napisałem, że Sonny Liston leżał na deskach w szóstej rundzie. Padłem ofiarą radiowego sprawozdawcy. Liston nie leżał na deskach. Po prostu nie stanął do walki w następnej rundzie. Ponoć poddał go menażer. Piszę ponoć, bo zdania są tu podzielone, a cała sprawa nie jest jasna.

Punch

JAK to nasi przodkowie SPRZĄTALI?

Ponieważ tydzień przedświąteczny w całości poświęcony bywa porządkom, pozwalamy sobie zacytować kilka niezawodnych przepisów z księgi:

„Gospodyni litewska, czyli nauka utrzymania porządnie domu i zaopatrzenia go we wszystkie przyprawy, zapasy kuchenne, apteczkowe i gospodarskie, tudzież hodowania i utrzymywania bydła, ptastwa i innych żywiołów, według sposobów wypróbowanych i doświadczonych a razem najtańszych i najprostszych. Drukowano z wydania 1888 roku. Warszawa, Wilno, Petersburg".

CZYSZCZENIE MATERACY WŁOSIANYCH

Wyjęte z materaców włosy, wytrzepać z kurzu, włożyć w kocioł, nalać wodą, z dodaniem potażu, i mięszać kijem, gotując kilka godzin na gorącym ogniu. Potem spłukać na przetakach czystą wodą i wysuszywszy, nakładać w materace.

WYWABIANIE PLAM SMOŁOWYCH I DZIEGCIOWYCH

Najpewniej się wywabia ją, smarując plamę masłem świeżym, ale to może służyć na rzeczy, z których później łatwo tłuste plamy schodzą. Na innych trzeba je wywabiać najtęższym spirytusem. Z bielizny wyjmuje się naprowadzeniem soli szczawikowej.

PLAMY ŻÓŁTE OD KWASÓW I URYNY Z MATERYI I SUKNA WYWABIAĆ

Napuszczać je spirytusem amoniakalnym, a w ten moment kolor naturalny powróci; prawda iż nie na długo, ale w kilka miesięcy można znowu napuszczanie to ponowić. Alkali lotne, rozlane wodą, ten sam skutek wywrze.

PRANIE BIELIZNY

Utrzymanie bielizny i ruchomości jest rzeczą tak ważną, iż się z tem pani zdać na nikogo nie może i nie powinna. Nic tak bardzo bielizny nie psuje i mocy jej nie odbiera jak prędkie jej złożenie po praniu bez poprzedniego wysuszenia. Zimą najczęściej to się przytrafia i dlatego radziłbym, aby każda właścicielka domu w taki się zapas bielizny, przynajmniej cieńszej, kosztowniejszej, przysposobiła, aby ją tylko latem myć można było.

PRANIE BLONDYN

Oszywszy mocna deskę płótnem białem rozpinają na niej blondyny małymi szpileczkami, wtykając jedną w każdy ząbek, czyli oczko kończące brzeg blondyny. Potem bierze się ta sama massa co do prania materyi i ręką nacierają się ją blondyny z lekka; gdy się zapieni i zaszumi jak zwyczajne mydło, spłukiwać ją rzeczną lub dżdżową wodą zimną. Póty się powtarza naprowadzenie massą i spłukiwanie, aż wszelki brud z blondyn nie zejdzie. Kto by tych małych nie miał szpileczek w zapasie, może zebrawszy oczka blondyn na jedwabną nitkę nawinąć ją, tylko na wałeczek oszyty płótnem; wałeczek cienkim tiulem po wierzchu się oszywa i myje, wyciskany ciągle i naprowadzony tą massą. Po wysuszeniu trzeba blondyny położyć na miękkim, można i siarkować po wypraniu.

MYCIE OKIEN

Kredy łutów cztery, triplu łutów dwa i wolusu łut jeden, wszystko utłuc miałko i przesiać przez muślin, a w razie potrzeby maczać w tym proszku kawałek flaneli i wycierać ją zwilżone zimną wodą szyby dopóki nie będą czyste. Robi się to zazwyczaj z wieczora, a nazajutrz wyciera się na sucho. Zagranicą, po wielkich miastach, codzień to robią i mają jak kryształ czyste okna.

WOSKOWANIE PODŁOGI

Woskiem na ogniu rozpuszczonym, pokrapia się gęsto całą podłogę. Wtenczas, nałożywszy rozpalonych węgli do niskiego wózeczka, na kółkach osadzonego, jeden człowiek powinien go powoli przeciągać po podłodze, zatrzymując się na każdym miejscu tyle tylko, żeby nakropiony wosk rozegrzał się, ale podłoga się nie przypaliła.

Drugi natychmiast ma tym roztopionym woskiem mocno suknem podłogę nacierać, która potem już się szczotkami froteruje.

ZWIERCIADŁA W PIERWOTNEJ PIĘKNOŚCI ZACHOWAĆ

Strzec się bardzo tego, by zwierciadeł nie stawić na miejscu, gdzie by promienie słoneczne na nie operowały, albo inne silne ciepło działało, bo się na nich skazy robią przez topienie się żywego srebra. Czyścić je zaś wódką z potażem miałko mielonym.

ZACHOWANIE ŚWIEŻEGO MCHU W OKNACH

Chcąc, aby mech nie żółknął, należy go przed włożeniem między okna umoczyć w farbce rozpuszczonej w wodzie, strząsnąć z niej i wilgotny układać w oknach a zachowa świeżość, kolor i zapach lasu.

CZYSZCZENIE FIGUR GIPSOWYCH

Ugotować gęstego krochmalu i posmarować nim grubo gipsowe figury używając do smarowania pędzelka, potem wystawić je na przewiewne miejsce. Obeschły krochmal popęka i razem z brudem odpadnie z figur.

PLUSKWY WYGUBIĆ

Naprzód chcąc, aby się one nie zapładzały, raz albo i dwa na tydzień łóżka oglądać i czyścić, szpary zaś w łóżkach i w lamperyjkach naprowadzać następującą mieszaniną: Dwa funty tabaki nalać garncem wody i gotować pod nakryciem, potem przecedzić i nakrajać do tego funt mydła i pół kwarty soli dodać; gdy ta się rozejdzie, zlać do butelki mocno zakorkowanej i używać w potrzebie.

SPOSÓB NA ODRASTANIE KOŃSKICH OGONÓW

Ugotować w garnku tłustego dubeltowego piwa, pięć cebul dużych, aż się na miazgę rozgotują, i tem piwem przemywać często ogony lub grzywy.

FUTRA PRZECHOWYWAĆ PRZEZ LATO

Kiedy już zima się kończy, w izbie ustronnej, do której nikt nie miałby potrzeby chodzić przynajmniej doby ze dwie lub ze trzy, porozwieszać obszernie wszystkie futra domowe i nie tylko nakadzić, ale nadymić najmocniej tytuniem, pokrzywą i trocinami rogowemi, to jest rogiem, skrobanym z rogów i kopyt bydlęcych; żar zaś do tego kadzenia najbezpieczniej jest stawić w garnkach, lub prosto kłaść w piecu, którego juszka jest z góry zamknięta; prócz tego postawić w tejże izbie miseczkę z chloryną, zwilżoną wodą a gaz z niej wydobywający się będzie niszczył i truł mole.

WŁOSY JAK UTRZYMYWAĆ I OD WYPADNIENIA BRONIĆ

Włosy są bez zaprzeczenia jedną z najpiękniejszych ozdób kobiety; na utrzymanie ich przeto szczególniejsze staranie i baczność zwrócić należy. Od parzenia głowy w miękkich poduszkach puchowych, włosy koniecznie wypadać muszą; dla zastrzeżenia ich przeto od tego; używać należy tylko safianowych poduszek. Czesanie cudzymi grzebieniami i szczotkami też niezmiernie włosy psuje, trzeba więc pilnie tego postrzegać, aby nawet fryzjer ubierając głowę pani nigdy jej grzebieni swych do włosów nie zakładał, jak to często mają zwyczaj robić, nie chcąc po nie daleko rąk wyciągać.

SPOSÓB NA ODRASTANIE WŁOSÓW

Chininy za 30 kopiejek, suchego rozmarynu za 30 kopiejek, utłuc dobrze, wsypać do butelki francuskiego wina, wrzucić dwie garści bożego drzewka, wlać pół kwaterki kolońskiej wódki, wcisnąć soku z dwóch cytryn, wsypać szczyptę soli, skłócić to wszystko razem, postawić na kilka dni w cieple, potem przecedzić i dwa razy na tydzień tą wodą głowę maczać.

OD POTNIENIA RĄK I POD PACHAMI

Potu tego nie należy raptem wstrzymać, gdyż stąd mogą czasem złe skutki dla zdrowia wyniknąć. Jednakże nie zaszkodzi codziennie zmywać miejsce transpirujące wodą, po połowie z octem mocnym rozwiedzioną, albo z kolońską wódką lub wreszcie z prostym spirytusem. To wzmacniając skórę ściska ją i do transpiracyi mniej skłonną czyni. Przytem dobrze jest wycierać ręce i pod pachami proszkiem krochmalu. Można też zalać półtora uncii species aromaticum kwartą białego wina i dodać równą część wywaru radix altchea mundate; tym umywać się, póki skłonność do potu nie ustanie. Poziomkami też nacierać jest dobrze w takim razie.

O PĘDZENIU WÓDKI JARZĘBINÓWKI

Przymarzłe nieco jagody podpiec na blasze w letnim piecu, nalać je wódką szumówką tak, aby je dobrze objęła, postawić na słońcu albo w cieple; a gdy naciągnie, zlać z jagód i używać niezaprawiana winem. Albo suszonego kwiatu jarzębinowego nakłaść do alembika, nalać go wódką, do której się dodaje czwarta część wody i przepędzić jak zwyczajnie. Wódka bardzo zdrowa dla tych co hemoroidalny defekt mają.

O UTRZYMANIU KREDENSU

Każdy z lokai i sług powinien mieć powierzony i wyznaczony sobie oddział. Jednemu na przykład zdaje się kredens na ręce; a ten w całości i czystości największej naczynie stołowe i herbatnie utrzymywać i podawać powinien. Srebro zaś i bieliznę, po każdym zebraniu ze stołu trzeba policzyć, aby w razie zdarzonej w nich straty (co się nie raz przy gościnnej posiudze zdarzy) można było naprędce dójść i odzyskać. Po każdym zaś zebraniu ze stołu w jadalnym pokoju, posadzka ma być zamieciona, a dom cały wykadzony, szczególnie jeśli gości zbyt wiele było.

Opracowali:

J. BRYSZ

I Z. WOJCIECHOWSKI

PSICA

Wanda Karczewska

Dalszy ciąg ze str. 1

pierwszych po śmierci matki, spędzonych tu wakacji. Ona się chyba wtedy nieźle mną bawiła; najgorsze byłoby, gdyby pamiętała to moje pożegnalne szczenięcotragiczne: „Jak ja teraz bedę bez ciebie żył?" Roześmiała się wtedy, ale zaraz zatuszowała śmiech pieszczotą; pogłaskała go po twarzy. Chociaż nie — usiłuje sobie przypomnieć — nie powiedziałem jej tego, myślałem tak, ale nie powiedziałem tego... Nie jest jednak pewien. Ona mnie pogłaskała, bo rozstając się z nią patrzyłem na nią tak, jakbym rzeczywiście miał za chwilę rzucić się pod pociąg. Pocieszyła mnie: „No, mój mały, przecież przyjedziesz tu na przyszły rok".

Mały Henryk patrzy na swoje przydługie nogi, myśli: „Najlepiej, żeby Teresa nie pamiętała tej dziecinady. Teresa. Przed chwilą, w porcie poznał ją od razu, choć zmieniła się od tamtych lat. Właściwie zanim ją ujrzał, poznał jej głos; ten głos przeniknął przez burtę i obudził go. Chwilę jeszcze Henryk leżał na koji, uzmysławiając sobie gdzie jest; słyszał nad sobą stąpanie po pokładzie, szczęk narzędzi, szelest żagla i nagle od lądu dobiegł jakiś głos kobiecy; zawołał: „Pietrek, co tam stoisz, właź do wody, pomóż mi!".

Henryk usiadł na koji, znieruchomiał i — skoczył do przedniego włazu; podciągnął się na rękach, wysunął tułów do pasa; wisząc tak, na łokciach, spojrzał tam. Kobieta o znajomym głosie brodziła przy brzegu, ściągając z mielizny sporą żaglową łódź, leżącą na burcie; widocznie wiatr w nocy zerwał ją z cum i zniósł na płyciznę. Pomagał jej mały chłopak; mówiła coś do niego, jej głos niósł się po wodzie wyraziście, wyodrębniony ze wszystkich szmerów, skrzypień i poplusków, jak dźwięk w olbrzymiej próżnej bani. To była ona, Teresa.

Chciał wyskoczyć na pokład i puścić się pędem po pomoście, ale zobaczył na rufie stojącego kapitana, tego człowieka o niezauważającym go spojrzeniu. Przed ułamkiem sekundy kapitan odwrócił się był gwałtownie, niemal nachylił nad wodą w kierunku, skąd szedł głos Teresy, jakby nie dowierzał własnym uszom; stał tak chwilę, aż żarzący się papieros sparzył go w palce; potem syknął, wrzucił ogarek do wody i — spostrzegł jego, Henryka, jak uśmiechał się do Teresy; nie, do swoich myśli o Teresie sprzed lat.

On pewnie myśli — Henrykowi przychodzi teraz do głowy — że z niego się śmieję; z jego zaskoczenia, z tego wszystkiego o czym... właściwie nic nie wiem o nim; o jakiejś aferze jego z Teresą, diabli wiedzą o czym jeszcze; na pewno tak pomyślał, zacisnął przecież wargi, urwał polecenia dawane bosmanowi i dwoma susami zbiegł z pokładu. Uciekł po prostu z pokładu do swojej kajuty. Kiedy Henryk po jakimś czasie wychodził ze statku, widział przez niedomknięte drzwi — kapitan leżał w swojej kajucie, ręce miał podłożone pod głowę, czapkę z daszkiem nasuniętą na twarz. „Nie chce, żeby go ktoś teraz widział" — pomyślał Henryk.

Teraz Henryk uzmysławia sobie, że

gdy zobaczył Teresę na mieliźnie, uśmiechał się pobłażliwie nie tyle do Teresy, ile do siebie z tamtych, na pół zatartych w pamięci wakacji. Miał wtedy czternaście lat i prawie uciekł tu, nad Wielkie Morze, do stryjostwa, z domu, gdzie po śmierci jego matki rozpierała się nowa obca kobieta. Nie mógł patrzeć jak zajmowała przy stole miejsce matki, jak siadała w jej różowej berżeretce przed lustrem, czesała się jej grzebieniem i szczotką w srebrnej oprawie. Ten grzebień i tę szczotkę kupił matce na urodziny, a teraz ta nowa, która upolowała ojca, zanim jeszcze żałoba po matce minęła, rozczesuje tą szczotką swoje gęste, twarde włosy. Pewnego dnia, pod nieobecność „nowej", wtargnął do pokoju zmarłej matki pozabierał wszystkie drobiazgi „mamy": szpilki o srebrnych skrzydełkach, flakony z Caprifolium, ten grzebień i tę szczotkę. Pojechał specjalnie za miasto nad staw i wrzucił je do wody: niech zardzewieją, niech zgniją, niech ich nikt więcej nie dotyka. Grzebień i szczotkę ukrył; wyjeżdżając tu, do wujostwa nad morze, zabrał je ze sobą; trzymał je w szufladzie komody. Kiedyś Teresa natknęła się na nie, zdziwiła się: „Ty używasz takich damskich drobiazgów?" Odparł: „Nie, to mojej mamy, zabrałem to, bo... nie chcę, żeby tamta używała ich. W ogóle — ktokolwiek. Ale... ty sobie to weź i czesz się nimi, dobrze?"

Popatrzyła na niego: „O, to ja mogę?", a gdy skinął głową przygarnęła go do siebie. Była wtedy od niego wyższa, sięgał jej głową do ramienia; brzeg jej haftowanego kołnierzyka zadrapał go w nozdrza, o mało co nie kichnął. Nagle poczuł jakiś znajomy zapach i z kolei o mało co nie rozpłakał się. Wyswobodził się więc nieco zbyt gwałtownie z jej uścisku; zapytała: „Co ci się stało?" Żachnął się: „Nic, nic!" Był zły, ponieważ był za bardzo wzruszony, a nie chciał tego pokazać po sobie, mruknął tylko: „Co to za zapach?" i teraz świadomie, nieznacznie ale świadomie wciągnął ten zapach w nozdrza. Dla kurażu powiedział starając się, żeby to wypadło śmiesznie: „Czy wszystkie kobiety z rodziny Richterów będą używały zawsze jednakowych perfum?" Teresa odparła: „To Caprifolium, to twoja mama też?... Moja również tego używa". Henryk poczuł w gardle ucisk, jakby tego wszystkiego było za wiele, pamięci matki i obecności Teresy pachnącej matką, i wybąkało mu się, niemal bez udziału jego woli, tak, to musiało wtedy zabawnie zabrzmieć: „Tereso, ja ciebie bardzo, bardzo..."

Nie pozwoliła mu dokończyć tego stękania, przerwała szybko: „To dobrze, ale dlaczego masz takie oczy, jakbyś za chwilę miał beczeć? Takie duże chłopaczysko. Ciesz się, ja ciebie też bardzo..." Czekał na to, co ona jego „bardzo", ale Teresa jakby nagle pożałowała swoich słów, albo — opamiętała się i jakby chcąc zatrzeć tamtą chwilę, schwyciła go za włosy, potargała je i pociągnęła go za nos. Krzyknął, nie, nie krzyknął, wrzasnął: „Cholera! Mówiłem, nie rób tego nigdy!" Już raz jej powiedział, żeby nie pociągała go za nos, wrażliwy i krwawiący z byle powodu, grożąc, że za następnym razem, jak mu to zrobi, on tak ją pociągnie za nos, że Teresa siądzie na ziemi. Teraz wściekł się i rzucił się na nią; uciekała na schody, ze schodów na taras i w zagajnik, wołając: „No to mnie dogoń, oddaj mi, spróbuj!"

Biegł za nią przez hall, schody, potem przez zagajnik; tutaj zaczęła go wyprzedzać na dobre; ona znała tu każde drzewko, ścieżkę i wykrot; już — już miał dotknąć jej pleców i schwycić za fruwający warkocz, gdy nagle skręciła i pobiegła na wskos ku stromiźnie. Chwilę zastanawiał się, obliczył odległość, rzucił się i zabiegł jej drogę; miał ją przed sobą, spostrzegła to, ale nie zdążyła się w pędzie zatrzymać; wpadła na niego, schwyciła się mocno jego ramion i oboje zaczęli się staczać ze stromizny, aż zatrzymali się, wgniótłszy się w kępę jałowca. Teraz oboje wrzasnęli; pojękując wyplątywali się z kłujących igieł, wytrząsali z ubrania kolące szpilki. „Ty szelmo!" — powiedziała mu — ty masz nogi osłonięte nogawkami, mnie do krwi podrapało!"

Śmiał się, zanosił się od śmiechu, aż ona zwróciła na to uwagę: „Nie wiedziałam, że się tak śmiać potrafisz, myślałam..." — „Jak?!" — zapytał. „No... usta ci się śmieją, brwi, nos ci się tak śmiesznie marszczy, włosy się podnoszą i uszy ruszają; ty się cały śmiejesz". — To po mamie — powiedział — jej się też uszy ruszały i nos marszczył... „Nagle jęknął: „Boże, ona nie żyje, a ja... śmieję się. Ach ty, Tereso, to przez ciebie wszystko...!"

Opuścił oczy, skubał żałobną opaskę na rękawie. Morze podpływało lekko, fale ledwie granatowiły piasek mokrym śladem. Teresa powiedziała: „Kiedy mój ojciec umarł i patrzyłam jak leżał w trumnie z zaciśniętymi ustami, też myślałam, że się nigdy nie roześmieję... Zdawało mi się, że nie będę mogła bez niego żyć; ja tatę o wiele więcej... lubię... lubiłam, jak mamę. A potem któregoś dnia roześmiałam się; przestraszyłam się sama tego śmiechu i... zawstydziłam. Pomyślałam: „Już? Już się zaczynam śmiać?"' Potem śmiałam się coraz częściej. To naturalne. Śmiech jest naturalny, tak jak... wszystko inne, a to co jest naturalne jest dobre; ja tak myślę. Przecież jak się roześmiejesz, to nie znaczy, że ja mniej kochasz, że nie pamiętasz o niej.." — „Kiedy ja właśnie zapomniałem o niej, zupełnie zapomniałem na całą chwilę, pierwszy raz zapomniałem wtedy, jakeśmy się staczali ze stromizny. To okropne!" — powiedział i wcisnął sobie kciuki w oczy.

Potrząsnęła głową: „Nie okropne, naturalne. Trzeba zapominać" przekonywała go. „Ale ja nie chcę zapomnieć! Mnie to niepotrzebne! Mnie jest tak dobrze!" — podniósł na nią głos. Powiedziała: „Nie indycz się. Zapominanie samo przychodzi... to jest właśnie naturalne..."

Nie odpowiedział więcej. Obudował się milczeniem, nie chciał się z nią zgodzić. Przynajmniej na razie. Ona też nic nie mówiła; pewnie myślała o tym swoim zapomnianym ojcu, którego więcej „lubiła" niż matkę. Zrobiło mu się jej żal, stała mu się bliższa przez to wspólne półsieroctwo, podniósł się: „Chodź, połapiemy sobie flądry..." Lubili czaić się na mieliźnie i chwytać rękami znieruchomiałe flądry, udające bezruchem, że ich wcale nie ma.

Wstała z ulgą, powiedziała: „Chodź, chodź, podporo mojej starości!" Był od niej o wiele niższy, więc otoczywszy go ramieniem, wsparła się na nim; jego ręka opasywała jej biodro; czuł, że jej tak nie bardzo wygodnie, więc rzekł: „Czekaj, puść mnie, daj łapę! Tak będzie lepiej! Czy ty jeszcze rośniesz, Tereso? Bo ja to dopiero teraz wyciągam się w górę. Za dwa lata będę tak wysoki jak ty. Wtedy się nam będzie lepiej chodziło!"

Roześmiała się: „Za dwa lata? Hoo! Za dwa lata ty będziesz miał szesnaście i będziesz wtedy chodził z jakąś piętnastolatką, a..." — „Tereso — oburzył się — jak ty możesz? Ja... ja... nigdy z nikim... ja tylko ciebie... z tobą... zawsze..."

Puściła jego rękę, stanęła na wprost, popatrzyła mu w oczy, potem ujęła jego twarz, wolno przybliżyła swoją, aż mu się zmącił jej obraz i powiedziała: „Henryczku? Ty mi się oświadczasz! Po raz drugi dzisiaj!"

I nagle — pocałowała go. Prosto w usta. Nie spodziewał się tego. Przez ułamek sekundy stał ogłupiały, a potem, sam nie wiedząc co robi, wyciągnął rękę i pchnął ją. Tak samo robił ze skaczącym do niego na powitanie Trezorem, oblizującym mu twarz.

Zatoczyła się do tyłu a on powiedział grobowym głosem: „Sprofanowałaś wszystko!" Patrzyła na niego chwilę, a potem powiedziała coś takiego, co go oburzyło bardziej niż ten pocałunek wilgotnymi lepkimi ustami prosto w usta. „Zielony — powiedziała — całkiem zielony. A wygaduje, smarkacz, sam nie wie co!".

Zaperzył się, doskoczył do niej, ale nim spostrzegł się chwyciła go za nadgarstki, — o, ona była wtedy roślejsza, mocna, duża, kariatyda, znała przy tym jakieś sztuczki i tak jakoś wykręciła mu ręce i nacisnęła, że z bólu pisnął i — siadł; na mokrym piasku, na skraju obmywanego falą brzegu. A właśnie nadbiegła jedna z nich i podmyła mu siedzenie. Zerwał się, podskoczył wściekły, ale Teresy już przy nim nie było. Wspinała się szybko na stromiznę, a warkocze na plecach podrygiwały jej ze śmiechu. Nabrał w garść piasku, rzucił za nią, nie dorzucił, sam się nim obsypał, więc krzyknął za nią: „Ty... Ty psico!".

Zatrzymała się nagle odwróciła i parsknęła znowu śmiechem: „Jaaak?!" — Więc powtórzył: „Psica! Wstrętna psica!"

Usiadła na skarpie i nie przestając się zanosić od śmiechu powtórzyła: „psica, psica", a potem zawołała czule: „Chodź, chodź, szczeniaczku, otrę ci pupę, bo ci się zamoczyła!"

Odkrzyknął w górę: „Nie potrzebuję! Nie chcę! Nienawidzę cię!" Zawołała: „A czy aby na pewno?!", lecz on już nie słuchał. Puścił się pędem wzdłuż mokrego pasa piasku i zatrzymał się dopiero, gdy wyoma przesłoniła ją zupełnie; wtedy rzucił się na ziemię, tuż za wywróconą dnem łodzią rybacką i powiedział: „A ja jej dałem grzebień i szczotkę mamy!" Przytknął wierzch dłoni do warg, czuł jeszcze na nich wilgoć jej mokrych ust; przypomniał mu się kleisty dotyk liści kasztanów na wiosnę, był tak samo lepki. Wstrząsnął nim nieznany, pierwszy dreszcz.

I teraz, ta dziewczyna — idzie przed nim, udając że nie słyszy skrzypienia żwiru pod jego stopami. Teraz jest równy jej wzrostem; mógłby podejść, objąć ją w pół ręką, jak wtedy, nie musiałby się do niego nachylać; ale wcale nie ma ochoty tego robić i w ogóle wolałby, aby niczego nie pamiętała; nie po to za nią idzie. Myśli, jaka ona jest, ta kobieta, bo to już nie jest dziewczyna, kobieta, na której widok tamten człowiek z jachtu dwoma susami uciekł do kajuty, na koję i przysłonił sobie twarz czapką, żeby nikt nie widział tej jego twarzy.

Kiedy ona zdążyła poznać tego człowieka, leżącego teraz na koji z czapką nasuniętą na oczy, i jak dalece go znała. Co między nimi było?

Henryk przystaje, czuje na szyi, u nasady włosów, kropelki potu, ociera je dłonią; ma ochotę zawrócić i uciec, ale naraz ona odwraca się i mówi:

— Długo pan będzie się za mną tak wlókł?

Henryk myśli: „Czy ja zawsze będę przy niej tracił odwagę?" nogi ma zesztywniałe, nie wie co powiedzieć; wreszcie bąka:

— Tereso...

— Co za Tereso... — mówi ona i naraz coś rozświetla jej oczy, chyba wspomnienie tamtych wakacji, bo zaczyna się śmiać, właściwie walczyć z ogarniającym ją śmiechem; mówi wreszcie:

— Henryk? Ten... ten mały Henryczek?

On przytakuje jej głową, bardzo nie chce, żeby do końca wypowiedziała to, co zapewne ciśnie się jej na język, duka:

— No... właśnie...

Ale ona kończy, tylko że mówi to nie z drwiną, ale z tkliwością niemal:

— ...który nie mógł bez mnie żyć, a potem przez całe lata nie napisał ani słowa...

Henryk przełyka parszywą grudkę wzruszenia i słyszy:

— Aleś ty wyrósł chłopcze... Mężczyzna, cały mężczyzna już z ciebie...

Kobieta podchodzi do niego i wtedy on czuje znajomy zapach; wie — to Caprifolium. Myśli, nie, boi się, że ona zechce się z nim przywitać jak wtedy i pocałuje go. Myśli: „Jeśli mnie pocałuje w usta, to ją... popchnę jak wtedy..." Teresa wyciąga do niego rękę, Henryk

przymyka powieki i myśli — zdrętwiały naraz: to się stanie teraz. Za chwilę, wie, poczuje na swoich wargach dotknięcie lepkiego od wiosennych soków liścia kasztanu; przenika go dreszcz; stoi stężały. Stoi i stoi i... nic takiego się nie dzieje. Zmieszany i już jakby odrobinę zawiedziony, otwiera oczy; w tej samej chwili czuje lekkie szarpnięcie za nos; mruga powiekami i, ogłupiały teraz, słyszy śmiech Teresy; a może to jest śmiech mewy ześlizgującej się zakosami z nieba nad morze; lecz nie, to woła Teresa: „Dogoń mnie teraz. Spróbuj mnie schwycić!"

Rzuca się za tym śmiechem Teresy, czy mewy, biegnie przez zagajniki; kolce jałowca czepiają się jego nogawek; jest wściekły, bo ośmieszony i zawiedziony i jest mściwie rozbawiony; wie, jest od niej teraz szybszy, jest silniejszy, teraz on jej „pokaże"; nie będzie tak jak wtedy. Dogania ją, gdy Teresa susami zsuwa się ze zbocza na plażę, dopada na samym skraju wody, obejmuje ją, wykręca ramiona do tyłu; pochyla się nad jej twarzą i gdy Teresa przymyka powieki, a ręce jej słabną i opór zmienia się w uległość. Henryk postanawia: czekaj, teraz ja cię tak popchnę, aż ty siądziesz, jak ja kiedyś na piasku, właśnie w tym miejscu, gdzie fala rozlewa się z sykiem, i powiem: „No to masz za swoje, psico!" ale...

Ale nic takiego nie czyni. Tylko całkiem coś innego. Sam szuka wargami owego czegoś co jest dotknięciem wilgotnego liścia kasztanu; potem szuka jeszcze w myśli owego wejścia do ciemnego parowu zarośniętego jałowcem, karłowatą sosną i złotokrzewem — bawili się tam kiedyś z Teresą w chowanego. W ciemności wąwozu można się ukryć przed ludźmi, a także trochę przed samym sobą.

JERZY URBANKIEWICZ

CZY MÓWI SIĘ?

Kiedy Aleksander Bell demonstrował w Akademii Francuskiej wynaleziony przez siebie telefon, podszedł do niego sędziwy członek Akademii, chwycił go za gardło i począł wołać starczym dyszkantem: „Protestuję! Protestuję w imieniu nauki! Nikt mnie nie przekona, że kawałek metalu bez krtani, strun głosowych i płuc może mówić!" Wypadek ten miał miejsce w roku 1876, a już pięć lat później w krajobrazie łódzkim pojawił się nowy element: słupy telefoniczne. Prasa donosiła codziennie, kto zainstalował sobie telefon, a w roku 1885 ilość abonentów doszła do zupełnie niezawrotnej liczby: 147.

W ciągu następnych piętnastu lat mówiło się o dalszym cudownym rozwoju techniki, na przykład o liniach telefonicznych łączących Łódź z Piotrkowem. Albo — panie dobrodzieju — z Warszawą. I rzeczywiście.

„Linia telefoniczna budowana jest na specyalnych słupach po lewej stronie toru kolei kaliskiej, wzdłuż jej plantu. Stanowią linię tę dwa przewodniki, każdy złożony z dwóch drutów bronzowych. Drut na ten cel sprowadzono z jednej z fabryk w Moskwie. Wyjdzie go na całą linię potężna ilość 1600 pudów". I wtedy, każdy otwarty umysł, zdolny rozumieć nieco więcej niż tylko sprawy własnej fabryki czy kantoru, puszczał wodze fantazji, sławił postęp, który już pozwalał na dowiedzenie się z gabinetu, co się dzieje w Pabianicach, lub najodleglejszych krańcach miasta. Kiedy zaś zostanie wykończona linia warszawska, to „być może wówczas to dopiero i Łódź ospała, o ile nie idzie o bójki i kamgarny, zbudzi się nareszcie do życia towarzyskiego w szerokich rozmiarach".

Jeśli pominąć szczegóły dalszego, sześćdziesięcioletniego rozwoju telefonów łódzkich, to o dzisiejszym ich stanie można by powiedzieć, że łączą to miasto z całym światem, centrala zaś Międzymiastowa wykonuje szereg pożytecznych usług niedostępnych oku i uchu przeciętnego abonenta w całej rozciągłości. Do usług tych należy prócz dokonywania połączeń — udzielanie informacji (03) oraz przyjmowanie zleceń (284-40).

— Dyżuruję przeważnie na 03 — powiedziała jedna z telefonistek. — Zapytano mnie kiedyś, kiedy się urodził Piotr Czajkowski. Nie mając encyklopedii, zadzwoniłam do pewnej instytucji kulturalnej, a tam mi odpowiedziano: „Proszę dzwonić do działu kadr. Bo ja nie znam osobiście, a tam mają wszystkie daty urodzin".

Pytano następnie o imię żony Hermana Titowa, o datę wymiany pieniędzy, o cenę sadzy angielskiej, z której strony Hitler miał przedziałek, o kolory pasów w stopniach szkoleniowych dżudo, a poza tym o mnóstwo innych informacji, stanowiących rozstrzygnięcie zakładów.

— Do abonentów mamy uprzejmą prośbę, żeby oni, kiedy dzwonią do informacji, mieli w pogotowiu ołówki i żeby notowali numery. Może w to trudno uwierzyć, ale historia, którą opowiem, jest najzupełniej autentyczna. Dzwoni do mnie abonent i prosi o telefon pana Kowalskiego. Właśnie Kowalskiego! Kowalskiego z ulicy Siewnej, Owsianej, Zbożowej „lub coś w tym rodzaju" — tak mi powiedział. Numer na czwórkę, na pewno — mówi — na czwórkę, proszę pani. Więc ja szukam. Kowalskich mnóstwo. Podał mi jeszcze literę imienia: M. A więc Marian, Mieczysław lub coś takiego. Doszłam do wniosku, że to może być Kowalski na Rolniczej. Abonent szybko się z tym godzi: „Od razu mówiłem, że Rolnicza! Niech mi pani poda numer". Ale nie ma ołówka, żeby zanotować. Woła więc do syna: „Podaj mi ołówek!" A syn na to: „Nauczyciel od rysunków jest chory i ja nie mam ołówka". Ale chłopiec, widać bystry mówi tak: „Tu leży mamy kredka do brwi". Podał tę kredkę, ale kredka jest miękka i czubek się odłamał, mój abonent zanotował tylko trzy cyfry a końcówkę postanowił zapamiętać. Nie zapamiętał, a do mnie z pretensją, że źle podaję numery. Więc tak niestety bywa, że abonenci mają do nas nieuzasadnione pretensje, ale że pamięć często zawodzi pragnęłybyśmy, aby ołóweczek był zawsze w pogotowiu".

A oto kilka innych próśb o informacje, lub zleceń.

„Proszę pani, stoję na rogu Piotrkowskiej i Tuwima. Gdzie tu jest szalet, na miłość Boską!?"

„Proszę pani, żona mnie nie chce wpuścić do domu, bo tak późno i jestem po paru wódkach. Może pani coś zrobi..."

„Kocham się w dziewczynie, proszę pani, a nie śmiem jej tego wyznać. Ja bym może dał pani jej telefon i pani..."

„Jestem na dworcu, za dwie minuty odchodzi mój pociąg, a ja przypomniałem sobie, że zostawiłem żelazko włączone!"

— Pewnego razu miałam dyżur w niedzielę. Dzwoni ktoś do mnie i powiada: „Proszę pani, piec mi strasznie kopci! Żona chora, 39 stopni gorączki i dziecko w łóżku, co ja mam robić?" — Niech pan ich dobrze przykryje i otworzy okno, żeby wywietrzyć pokój. „Ale co ja zrobię z piecem?" — Niech go pan zaleje, żeby nie dymił. No dobrze. Wyłączył się. Ale za parę minut znów dzwoni. „Wszystko zrobiłem. Ale co ja mam z piecem zrobić?" — Dziś niedziela, nie wiem, czy pan sobie zduna jakiego znajdzie. Dałam mu trzy adresy i telefony, i mówię jeszcze: Może panu sąsiad pomoże, jeżeli pan sam nie potrafi. „Nie. Tam się dziura zrobiła. Sąsiad nic nie pomoże". Za parę minut znów dzwoni: „Żaden zdun nie chce przyjść, a ja mam chore dziecko i muszę ugotować obiad". — Niech pan poprosi sąsiadkę. Przecież nikt panu w takiej sytuacji nie odmówi. „Ale ja z sąsiadami nie bardzo żyję. Zwłaszcza z kobietami. Zresztą żona miałaby pretensje". I tak dalej i tak dalej: od godziny 9 rano do 12.

* * *

Osobną dziedzinę tej tak pożytecznej instytucji, jaką są telefony, stanowią książki telefoniczne. Wydawane i redagowane są w Łodzi na takich samych zasadach jak w całym kraju i stanowią dla abonentów taką samą jak w całym kraju rozrywkę. Zasada obowiązuje tu następująca: „Czas nie zając — ślij palec i szukaj". Toteż, jeśli chcemy znaleźć jakąś instytucję zajmującą się na przykład chemią, to nie należy jej szukać na C, pod słowem „chemia", „chemiczny" na początku ale pod „Łódzki", może pod „Zakłady", a może jeszcze pod innym hasłem. Zdawać by się mogło, że Zakładu Wychowawczego należałoby szukać pod Z, albo pod W. Otóż nieprawda — na P. Pod Państwowy. Na żądanie kilkaset dalszych przykładów.

Jednakże sprawę tej książki traktować należy, jako jedną z niewielu ciemnych stron wielkiej dziś i niezbędnej instytucji, która w warunkach dużych trudności technicznych organizuje życie tego miasta w jego wszystkich dziedzinach.

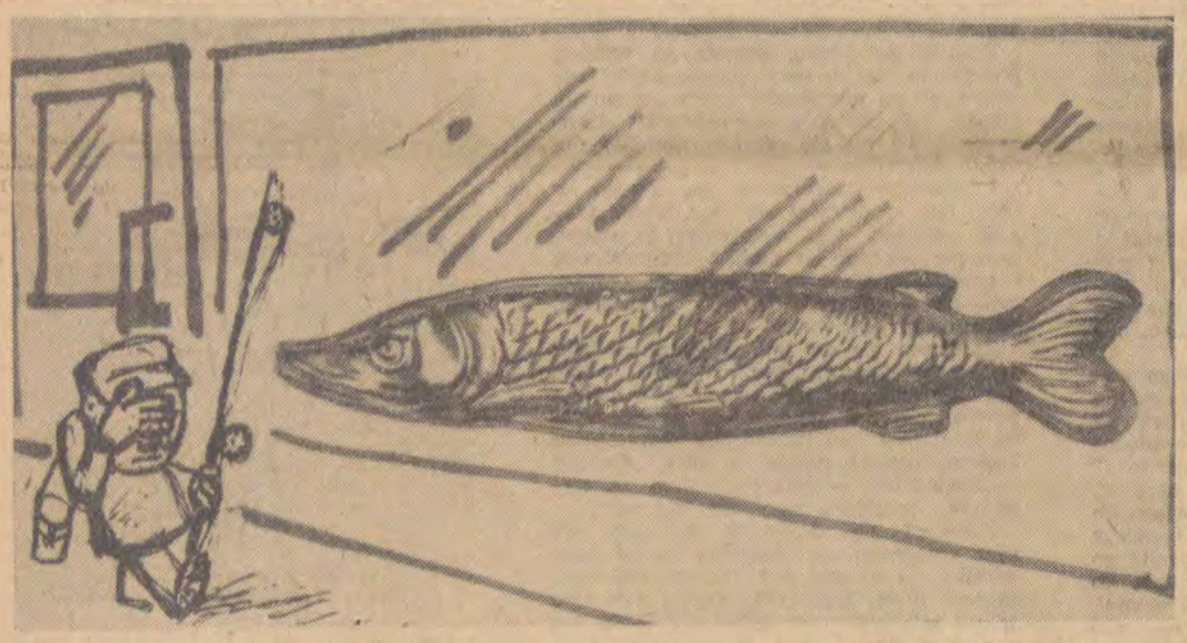

Rys. J. Wiktorowski

STEFANIA KRÓLIKOWSKA

— Najpierw jeździła Pani do krajów skandynawskich — a więc na północ, ostatnio trasa podróży przebiega przez kraje ciepłe, Grecja, Cypr, Rodos. Czy to dla kontrastu?

— O nie. To po prostu sprawa moich zawodowych obowiązków. Pracuję w „CeTeBe" i właśnie w Grecji, Rodosie i na Cyprze załatwiałam ostatnio kontrakty z odbiorcami naszych maszyn bawełnianych.

— O którym więc kraju chce Pani opowiedzieć.

— Najchętniej o Grecji, chociaż ten kraj powitałam w zupełnie podłym humorze.

— Dlaczego?

— Chciałam być superelegancką damą, więc ubrałam się w granatowy, wełniany kostium. Nim dojechałam z lotniska do hotelu kostium, z racji upału, nadawał się do wyżęcia. Potem nosiłam już zwyczajne sukienki z kretonu Made in Łódź.

— Co się Pani w Grecji najbardziej podobało?

— Akropol, amfiteatr. To zupełnie niezapomniane wrażenie, kiedy człowiek siada na kamiennych ławkach i zapomina, że antyczna sztuka grana późną nocą przy wspaniałym oświetleniu jest widowiskiem w wykonaniu artystów wieku XX.

— Co pani sądzi o chwalonej powszechnie przez turystów kuchni greckiej?

— Dziwna, ale można się przyzwyczaić. Tam przede wszystkim sprzedają ogromne ilości małych i bardzo urozmaiconych potraw. Na każdym kroku spotyka się barki, a w nich różne smaczne sałatki i oczywiście dwa miejscowe „rarytasy": biały ser — „feta" i wino żywiczne — „rycyna". Przysięgam, że taka właśnie jest nazwa tego wina. Turyści amerykańscy zapijali „rycynę" litrami — mnie to wino w smaku przypominało krople na wątrobę. Poza tym rzuciłam się kiedyś na coś takiego, co na wygląd do złudzenia przypominało nasze poczciwe kapuściano-mięsne gołąbki. Ale te „gołąbki" okazały się papryką nadziewaną pieprzem... Najlepsze jednak są tam ośmiornice: drobniutko, w paski jak makaron pokrojone.

— Jak Pani znajduje płeć piękną monarchii greckiej?

— Dziewczyny są piękne, ale ogromnie skrępowane różnymi obyczajowymi przepisami. Poza tym każda biedniejsza dziewczyna, której rodzice nie mogą dać posagu — sama musi na ten posag zapracować, inaczej nie wyjdzie za mąż.

— Widziała Pani króla, zmarłego przed kilku dniami Pawła I.

— Tak, w dniu jego urodzin, w katedrze. Na ulicach Aten było wtedy bardzo dużo różnych orkiestr i jeszcze więcej policji.

— Czy teraz, w Łodzi, wspomina Pani Ateny?

— Często. Wyciągam wtedy greckie płyty i słucham muzyki, w której odnajduję motywy ludowe rosyjskie i tureckie.

Rozmawiała:

H. B.

Żyjemy w czasach paradoksów. Coraz częściej zdarza mi się słyszeć, że nieletnie dziatki z pełnym rozeznaniem, a nawet niemałym znawstwem popełniają takie czy inne przestępstwo. Do zabójstwa włącznie. Równy tuzin w ciągu roku. A więc jedno zabójstwo w miesiącu, jak wynika z prostego rachunku i ze statystyki. Okaleczeń wywołanych przez dziatki do ukończonego siedemnastego roku życia lepiej nie liczyć, bo prawdę mówiąc, nie są to dane odpowiednie na święta. Rzadko który dzień w roku wolny jest od zadanych spokojnym ludziom bardzo ciężkich i ciężkich uszkodzeń ciała.

A rodzice? Tu właśnie paradoks. Na rozprawach sądowych okazuje się, że to właśnie ojca czy matkę nieletniego przestępcy cechował pełny brak „rozeznania". Mianowicie „rozeznania" w możliwościach synalka czy córy, do czego pociecha okaże się zdolna. Jest to brak „rozeznania" udany lub szczery, nie będę wnikał, w każdym razie bezwstydnie demonstrowany przed sądem. Rodzice wyrażają zaskoczenie albo też starają się wyrobić przekonanie, że fakt ich zaskoczył. Zdolny, dobry, grzeczny, uczynny — oto przymiotniki, którymi sąd jest karmiony przez opiekunów dzieci. Niekiedy wbrew najwymowniejszym dowodom. Na przykład w wypadku recydywy, o której wiadomo na podstawie danych z centralnego archiwum.

Taki mikroklimacik sprzyja rozmaitym dracznym pomysłom. Przedsięwzięciom niekoniecznie infantylnych, jakby to może wynikało z wieku sprawców, ponurych niekiedy zdarzeń. A jeśli już infantylizm, to niebezinteresowny. Tak, jakby „dziecinne" podłoże przestępstwa było na siłę dorabiane. Dla sądu i dla kolegów. Dla rodziców. Właśnie, czy dla rodziców? Niejeden przestępczy zamiar został wypielęgnowany i w czyn się przerodził pod czułym i troskliwym okiem mamy z papą, którzy najogłędniej mówiąc, nie sprzeciwiali się zbytkom swej pociechy. A nawet, jak to niejednokrotnie zostaje dowiedzione, podsunęli gwarantujący pełnię powodzenia i dyskrecji pomysł.

W sądzie problem zostaje oczywiście odwrócony do góry nogami. Kto by sobie pomyślał, proszę Wysokiego Sądu. To jest prawdziwy wstrząs, ale teraz zwrócimy baczniejszą uwagę. To niechybnie demoralizujący wpływ literatury. Albo telewizji. Józiu, prawda, oglądałeś niedawno „Kobrę". Ale miałam (czy miałem) mówić do Wysokiego Sądu. Jeśli nie literatura, to w każdym razie środowisko. Koledzy. Dzieci, tak, dzieci, źle się bawią.

Oglądałem na własne oczy proces, w którym stanęło przed sądem jednocześnie dziewięciu oskarżonych. Z zeznań rodziców tych nieletnich, najczęściej, oskarżonych, albo też oskarżonych, którzy nieznacznie przekroczyli siedemnasty rok życia wynikało jednoznacznie, że to pozostali, koledzy, mieli na syna tak zasadniczy, demoralizujący wpływ. I posiłkowo literatura. W dziewięciu wypadkach ten sam sposób obrony, ten sam sposób argumentacji. Zawiniło środowisko i literatura. Ponieważ każdy z oskarżonych został kolejno wyłączony z gromady kolegów przez ojca czy matkę środowisko po chwili rozmywa się zupełnie, a na placu boju pozostaje literatura. Jako główny w gruncie rzeczy oskarżony. Demon zła, jak kwieciście wypowiadają się adwokaci.

Ale nawet nie to uderzyło mnie w tym procesie. Właściwie paradoksem byłoby, gdyby zrezygnowano z tak teatralnego środka, jakim jest oskarżenie literatury. W końcu to bardziej etyczne, niż gdyby zwalono winę na jednego ze współoskarżonych. Literatura to znieśie. A pisarzy pewnie ucieszy wiadomość, że literatura jest na coś potrzebna. Serio potrzebna.

To co rzeczywiście niepokoi, dotyka problematyki absolutnie innej. Nie płynności wieku, dla którego można bezspornie przyjąć, że nieletni sprawca przestępstwa działa z rozeznaniem. Zawsze mieliśmy do czynienia ze zjawiskiem tej płynności. Ale chodzi o to, że obecnie ta płynność została ukierunkowana. I można z dużym prawdopodobieństwem stwierdzić, że częściej niż się to działo dawniej mamy do czynienia z wypadkami popełniania przestępstw z rozeznaniem w wieku bez mała trzynastu lat. Z rozeznaniem. A więc przy uświadamianiu sobie istoty i znaczenia czynu. I jego następstw. Stąd chyba wniosek, że dzieciństwo staje się krótsze. Ulega więc zaniżeniu wiek, w którym nieletni sprawcy popełniają z pełną świadomością przestępstwa mogące włos na głowie zjeżyć, a z drugiej strony przybywa chętnych do takich przygód niejednokrotnie zakończonych krwawo. Skutki? Trzeba było otworzyć trzy nowe domy poprawcze na przestrzeni ostatniego roku. A dom poprawczy jest środkiem, do którego sąd ucieka się raczej rzadko. Najczęściej uznaje to za niecelowe. Tylko nieznaczny ułamek spraw kończy się osadzeniem nieletniego w domu poprawczym. Co jest zresztą jak najbardziej słuszne, chociaż nieco gmatwa statystykę.

Ale oto następny paradoks. Przestępczość nieletnich i młodocianych ma z reguły charakter zorganizowany. Niech to będzie grupa trzech, czterech czy pięciu osób, ale zawsze grupa. Potrzebują wzajemnie wsparcia. Boją się samotności i działania w pojedynkę. To psychologicznie uzasadnione i nie w tym leży paradoks. Szokujące jest, że kierowniczą rolę w takiej zbiorowości obejmuje niejednokrotnie smarkacz. Wcale nie najstarszy członek grupy. Piętnastoletni chłopak kieruje osiemnastoletnimi. Starszymi od siebie. Autentyczne. A to przemawia za tym, że przyjęta przez nasz kodeks sztywna granica wieku, w którym mamy do czynienia z bezwzględną odpowiedzialnością nie bardzo wytrzymuje próbę życia. Że może owszem, kiedyś. Ale ja się absolutnie nie znam na archeologii. Bo dogmatyczne trzymanie się tej zasady doprowadza do tego, że osiągnięcie pewnego wieku jest bardziej obciążającą okolicznością niż stopień winy i rzeczywista rola w popełnieniu przestępstwa. Działający z rozeznaniem smarkacz zdolny w zasadzie do zabicia lub okaleczenia człowieka jest karany o wiele łagodniej, niż starszy od niego o kilka miesięcy kolega. Choć udział starszego jest prawie symboliczny. Bo już przekroczył magiczną cyfrę siedemnastego roku życia.

Ale nawet nie to, że piętnastolatek przygotowuje sobie na wyprawę nóż i pończochę wyładowaną piaskiem do obezwładnienia ofiary, wydało mi się takim paradoksem. Myślę, że nawet niewinne kryminały Labiryntu i Srebrnego Kluczyka podsunęłyby bardziej oryginalny pomysł. Nawet nie w psychicznej gotowości piętnastolatka do popełnienia zabójstwa widzę powód do zastanowienia. Ostatecznie można przyjąć, że był to akurat wypadek wyjątkowy. Największym paradoksem wydała mi się psychiczna gotowość kolegów szkolnych, tych nieletnich, do podziwiania ich czynu. Szczere zachwyty i szczere gratulacje, gdy sąd, uwzględniając wiek oskarżonych i udział każdego w przestępstwie postanowił zastosować wobec niektórych tylko środki wychowawcze, co siłą rzeczy było równoznaczne ze zwolnieniem tych uczniów z liceum czy technikum do domu. Aplauz i podziw kolegów z tej samej szkoły i klasy.

Właściwie tylko ta reakcja doprowadziła mnie do pasji, chociaż z natury nie jestem furiatem. Ale to mnie zmroziło. A potem? Zgodziłem się sam ze sobą, że ulegam halucynacji. Że tego aplauzu kolegów szkolnych nie było. I że obrońcy nie usiłowali we mnie wmówić podobieństwa całej sprawy do filmu „Przed potopem". Nie mówiąc tego wprost. A więc, że tak czy inaczej, sztuka tutaj zawiniła.

P.S. A jeśli przy czytaniu poczuliście nadmierne wydzielanie żółci, to tylko dobrze. Bo tylko słodkie święta, to nudne święta. A poza tym żółć pomaga w trawieniu, jak sądzę.

Skryba

Lech Utracki
BUFFALO BILL

To był dobry weekend. Przez trzy dni przejechaliśmy kawał Arizony. Byliśmy znużeni, spragnieni snu nie przerywanego szczekaniem kojota czy rozpaczliwym piskiem myszki-kangurowatej ginącej w szponach myszołowa, spragnieni wody, morza, zieleni. Wjazd w ulice Yumy był równoznaczny z dotarciem do wrót Kalifornii. Do domu pozostało jeszcze ok. 500 km, a więc 4—5 godzin jazdy, najlepiej nocą, gdy upał nieco zelżeje. Mieliśmy kilka godzin do zachodu słońca.

Yuma leży nad Kolorado, której wody poją miasto i otaczające je plantacje cytrusów i daktyli. Na wzgórzu ponad rzeką stoją mury dawnego fortu. W latach późniejszych został on przerobiony na słynne więzienie terytorialne — postrach i grób wielu bandytów z „Dzikiego Zachodu". Dzisiaj w dawnym więzieniu mieści się jedno z najdziwniejszych muzeów świata.

Jest to jedna wielka sala (dawna stajnia) jaskrawo pomalowana przez indiańskiego artystę-samouka, zastawiona szafami i przeszklonymi skrzyniami. Najprzedziwniejsze skarby zalegają przepaściste skrzynie. Jest ząb mastodonta, „grzechotki" grzechotników, sznury szklanych koralików, suknia Indianki (bogato ozdobiona koraliczkami) kieliszki, ryba-kolczatka (nie wiedzieć skąd w tym muzeum wśród pustyni), są tam kawałki drewna, kamienie, minerały, siodła kowbojskie, biżuteria indiańska, pożółkłe listy, kule ołowiane, strzelby i szable, słynne trójkątne noże — „bowie knife". Pod jednym z pistoleików (inkrustowany macicą perłową, z kurkiemi) przypominającym do złudzenia zabawkę dziecinną, przeczytałem: „PISTOLET BUFFALO BILLA". Żarty? Czyżby bohater książek o kowbojach, pięknych dziewczynach, Indianach i bizonach był postacią rzeczywistą? A jeśli nawet, czy ta zabaweczka mogła być owym niezawodnym narzędziem śmierci?

W jakiś czas później wpadła mi w ręce książka Sella i Weybrighta zatytułowana: „Buffalo Bill i Dziki Zachód", którą czytałem z zapartym tchem. Posłuchajcie tylko listy przydomków nadanych Buffalo Billowi przez autorów: Pogromca Indian, Jeździec Konnego Expressu, Traper z kresów, Bawidamek, Pocztylion, Myśliwy, Aktor. Po przeczytaniu książki skłonny jestem listę tę przedłużyć jeszcze o kilka następnych określeń.

William Cody, znany później jako Buffalo Bill, urodził się w 1846 roku. Ojciec Isaac Cody był człowiekiem ambitnym, odważnym, o skonkretyzowanych poglądach i... wstręcie do życia osiadłego. Wkrótce po urodzeniu Williama, rodzina Codych ruszyła na zachód do Kalifornii. Nadchodzące lata niosły Stanom wiele zmian. Były to lata niespokojne, lata, które nadały nowy charakter niedawno powstałej Unii Wolnych Stanów. W 1848 roku rząd USA pokonawszy Meksyk „odkupił" za 15 milionów dolarów Texas i Kalifornię. W 1849 roku znaleziono w Kalifornii złoto. W tych samych latach narasta antagonizm pomiędzy przemysłowymi Stanami północnymi, a rolniczymi i niewolniczymi Stanami Południa. Konflikt ten doprowadził w końcu do wojny domowej, w której pietnastoletni William brał aktywny udział. Wracajmy jednak do rodziny Codych.

Po kilkuletniej wędrówce z miejsca na miejsce, lecz wciąż ku owemu wyśnionemu Edenowi Amerykanów, Cody dotarli do Salt Creek w stanie Kansas. Kansas był granicą pomiędzy Stanami północnymi a południowymi. Cody — ojciec, przybysz z północy, był zwolennikiem zniesienia niewolnictwa. Jakkolwiek starał się nie zabierać głosu w sprawach miasteczka, które tylko przejściowo udzieliło mu gościny, tym niemniej zmuszony śmiało formułował swe poglądy. W trakcie wygłaszania mowy przeciwko niewolnictwu, został pchnięty nożem w plecy i po kilku miesiącach leczenia w ukryciu przed bandami rasistów, zmarł. William miał 11 lat, gdy niespodziewanie został głównym żywicielem rodziny.

W tym wieku Bill był już doskonałym strzelcem, świetnie jeździł konno, był dobrze zbudowany i wysportowany. Dzieciństwo spędzone między ludźmi dzielnymi, często dzikimi i bezlitosnymi, pomiędzy Indianami i żołnierzami uformowały jego charaktek. Sześć osób na utrzymaniu wymagało nie lada wysiłku od młodego chłopca. Pierwszą pracą 11-letniego Williama było pełnienie obowiązków gońca-posłańca w konnym pociągu z zapasami dla stanu Utah. Pociąg taki zawierał 25 ogromnych wozów, ciągniętych przez 12 wołów każdy, stada zapasowych wołów, konie i muły. Karawana taka rozciągała się na 5—8 km. Wzdłuż niej nieustannie kursowali gońcy doglądając porządku i przenosząc rozkazy od wozu kierownicy aż do stad zwierząt pędzonych na końcu.

W ciągu 7 miesięcy pociąg taki przebywał do 4.000 km! W czasie pierwszej wyprawy, człapiący na mule za taborem, zmęczony Bill zobaczył nagle w blasku księżyca Indianina. Strzał... i tak oto zaczyna się kariera Billa-Pogromcy-Indian.

Po powrocie do Salt Creek, Cody otrzymuje pracę jako poganiacz wołów w zaprzęgu. Funkcja, wymagająca dużych umiejętności. William podpisał zobowiązanie: „W trakcie pracy u A. Majorsa, zobowiązuję się nie używać wulgarnego języka, nie upijać się, nie hazardować, nie być okrutnym dla zwierząt i nie czynić nic co byłoby niezgodne z mianem dżentelmena. Jeśli przekroczę jakiekolwiek z poczynionych zobowiązań zgadzam się przyjąć wymówienie bez żadnego wynagrodzenia za moją pracę". Zawód poganiacza zaprzęgu dostarczał licznych przygód. Kiedyś, gdy Mormoni spalili pociąg, Bill wędrował piechotą

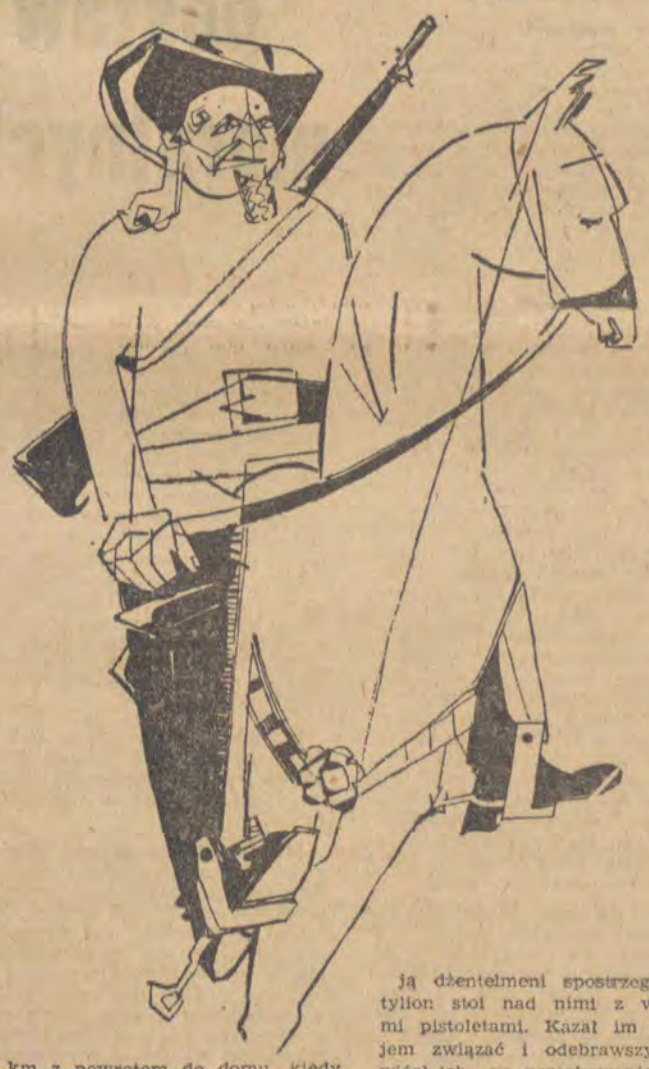

1500 km z powrotem do domu, kiedy indziej walczył z Indianami, to znów uciekał przed oszalałym, tysiące sztuk liczącym stadem bizonów. W czasie swych podróży napotkał wielu sławnych traperów i strzelców Zachodu, jak Kita Carsona czy szeryfa Hickoka. Hickok to wirtuoz Colta, nieomylny strzelec, słynny z zabicia w potrójnym pojedynku trzech awanturników, a strzelał z jednej ręki. Jak większość doskonałych strzelców i Hickok zginął od kuli — przy barze, w plecy.

Bill odziedziczył po ojcu niecierpliwość i pragnienie zmian. Po trzech latach pracy spróbował traperstwa, a gdy wyprawa zamiast skór i pieniędzy przyniosła same niepowodzenia, zgłosił się na jeźdźca słynnego Konnego Expressu. Było to jedno z najbardziej brawurowych przedsięwzięć w historii podboju Nowego Kontynentu. Konny Express łączył Kalifornię z St. Louis — 5.000 km! Służył on do przewozu poczty. Listy pisane były na specjalnym cienkim papierze. Jeźdźcy pełnym galopem pędzili po 50 km, trzykrotnie zmieniając konie. Nierzadko zdarzało się, że stacja została spalona przez Indian, lub goniec mający dalej nieść pocztę został zabity. Pewnego razu czternastoletni Bill w ciągu 21 godzin i 40 minut przejechał 540 km!

W 1861 roku wybuchła wojna domowa. Cody pomny losu ojca zgłosił się do armii Stanów północnych, gdzie przez dwa lata służył jako wywiadowca, przewodnik, traper i strzelec. Z pewnością wiele narosło legend na tło prawdziwych wydarzeń. Lata następne przyniosły Williamowi sławę, której owoce zbierał aż do kresu życia. Przyniosły mu coś więcej — uczyniły go symbolem epoki. Życie Billa Cody splotło się ze wszystkimi bohaterskimi wydarzeniami końca XIX w. w USA: migracja do Kalifornii, epopeja pociągów konnych, krótkie, lecz jakże pamiętne dzieje Konnego Expressu, wojna domowa, walki z Indianami, budowa linii kolejowej przez cały Kontynent — wszystko, co składa się na heroiczną część historii tamtych lat.

Okres życia Cody'ego od wojny domowej aż do czasów jego działalności aktorskiej jest ogółowi najlepiej znany. Epizody z powieści Karola Maya, Jamesa F. Coopera i in. mogą być odszukane w bogatym życiorysie Williama. Jest tam więc historyjka o dzielnym myśliwym i pięknej białej brance Indian, historyjka o walce na śmierć i życie pomiędzy bohaterskim traperem i dzielnym synem wodza Indian, historie o pełnym forteli pocztylionie, pojedynkach na pistolety galopadach w wyścigu o życie.

Pozwólcie mi tu opowiedzieć kilka fragmentów z bogatego życiorysu Billa. Fakty zostały sprawdzone przez historyków i są w dużej mierze prawdziwe.

Po zakończeniu wojny domowej Bill rozpoczął pracę jako pocztylion. Pewnego razu powierzono mu przewiezienie kufra ze złotem. Kufer załadował do dyliżansu a sam siadł na kozioł. Po kilku milach zsiadł i zwracając się do dwu podejrzanych pasażerów, poprosił ich o podanie liny leżącej pod siedzeniami. Wyciągnąwszy ją dżentelmeni spostrzegli, iż pocztylion stoi nad nimi z wyciągniętymi pistoletami. Kazał im się nawzajem związać i odebrawszy broń zawiózł ich „na przechowanie" do przyjaciela. Przełożywszy złoto do rozprutego siedzenia w dyliżansie ruszył dalej. Wkrótce został zatrzymany przez bandę rabusiów. „Bardzo mi przykro dżentelmeni — powiedział Bill. — Wasi przyjaciele już mię oporządzili. Oto kuferek. Ale oni są bez koni, wyciągnęli na mnie pistolety, 6 mil stąd, łatwo więc ich złapiecie". Wódz dał znak pogoni a Bill zawiózłszy złoto, w drodze powrotnej „odebrał" dwóch zbirów i odtransportował do więzienia.

W czasie wojny zmarła Billowi matka. W dwa lata później ożenił się z „panną z dobrego domu z Południa". Potrzeba było teraz moc pieniędzy nie tylko na własny dom, lecz również dla samotnych sióstr. Bill podjął się dostarczać mięsa bizonów dla robotników budujących linię kolejową poprzez Stany. Praca ta dała mu możność spekulacji gruntami — Cody do spółki ze znajomym (inżynierem kolejowym) kupił szmat ziemi, przez którą miała przechodzić linia kolejowa i postanowił założyć tu miasto o nazwie Rzym. Wspólnicy podzielili ziemię na działki, wytyczyli ulice i rozpoczęli sprzedaż wśród robotników budujących kolej. Wkrótce stanęło kilkadziesiąt domków. Bill sprowadził rodzinę (właśnie urodził mu się syn). Czuł się bogaczem. Interes zapowiadał się wspaniale. Następnego dnia po przyjeździe pani Cody do Rzymu przyjechał Mr. Webb — dżentelmen ze wschodu. Zadowolony doskonałym polowaniem z Billem jako przewodnikiem, w trakcie obiadu ofiarował mu... ósmą część zysków z Rzymu, z miasta, którego Bill czuł się twórcą i właścicielem. Bill ubawiony propozycją, odmówił. Kiedy po trzech dniach wrócił z polowania na miejscu Rzymu stał tylko jeden dom — jego własny. Pod wpływem przekonywających słów Mr. Webba reszta mieszkańców przeniosła się wraz z całym dobytkiem kilka kilometrów dalej na ziemie będące jego własnością. Bill — potencjalny milioner w ciągu nocy stał się żebrakiem. Żona wróciła na południe do rodziców; a William z całą energią zabrał się do dawnego zawodu, którzy przyniósł mu imię — do polowań na bizony.

Polowaniami na bizony (po angielsku buffalo) Bill parał się przez szereg lat. W ciągu siedmiu miesięcy jednego roku zabił 4.280 bizonów na mięso dla robotników kolejowych. Właśnie w tym czasie zyskał przydomek „Buffalo Bill", czyli „Wiluś od bizonów". Poprzednio przezwisko to nosiło wielu innych myśliwych, gdyż zarówno imię William jak i zawód strzelca bizonów były popularne. Od czasów Buffalo Billa-Cody'ego pozostało jedynie jego przezwiskiem. Wielokrotne zawody w sprawności zabijania bizonów wypadały nieodmiennie na korzyść Billa. Pewnego razu, w ciągu jednego dnia Cody zastrzelił 69, a jego rywal 46 sztuk, przy czym bizony pierwszego leżały w wąskim kręgu, a ofiary drugiego rozciągnięte były na dużej odległości i trudne do odszukania.

Wielka rzeź bizonów rozpoczęła się w latach 1870. W tym czasie stada tych zwierząt były tak liczne, że jak podają pamiętnikarze: „w ciągu jednego dnia mogłeś zobaczyć od 500.000 do 12 milionów sztuk". Polowania ustają pod koniec lat siedemdziesiątych — nie było już na co polować! Siedemdziesiąt milionów zwierząt zostało wytępionych w ciągu siedmiu, ośmiu lat!!! Mniej niż jedna tysięczna mięsa została spożytkowana. Polowania na bizony były w tych latach sportem, metodą wygłodzenia Indian, źródłem skór, a w niewielkim procencie źródłem pożywienia.

Buffalo Bill został zatrudniony w armii gen. Sheridana, wysłanej przeciw burzącym się plemionom Indian. Posada w Expressie Konnym przydała się. Wiadomo np. że przenosząc meldunki konno przez terytorium wrogich Indian w ciągu 60 godzin zrobił prawie 600 km. Innym razem, gdy przy wodopoju uciekł mu muł, Bill gonił go kilkadziesiąt kilometrów, by przy domu ze słowami „No, teraz panie muł, moja kolej!" zastrzelić go. „Polowania" na Indian niejednokrotnie odbywały się wbrew poczynionym Indianom obietnicom nietykalności a również wbrew wskazaniom prezydenta i rządu USA. Nikogo jednak za rzezie Indian nigdy nie pociągnięto do odpowiedzialności! O jednej z takich bitew, w której brał udział Bill pisze Sell: „Oddział gen. Carr podążał w kierunku Wiosennego Szczytu, gdy doniesiono, iż w odległości kilku mil znajduje się obóz Indian Pawnee. Gen. zarządził atak. Wojownicy indiańscy zobaczywszy atakujących, wskoczyli na konie i... uciekli. Wódz wsadził żonę i dzieci na konia, którego wyprowadził za obręb obozu, poczym rzucił się do walki. Bill strzelił z odległości 10 m i strącił go konia. W walce zginęło 52 Indian a 117 zostało pojmanych". Innym razem pod tytułem „Cody zabija Żółtą Rękę" czytamy: „Żółta Ręka, młody wojownik Cheyenne pędził na czele grupy wojowników. Wysunąwszy się na czoło Buffalo Bill strzelił zabijając konia. Obaj wojownicy znaleźli się na ziemi. Drugim strzałem z odległości 20 kroków Bill położył Indianina". Warto dodać, iż w następnej chwili Cody oskalpował pokonanego przeciwnika. W kilka lat później, w trakcie pobytu w Kanadzie Buffalo Bill, powiedział: „W dziewięciu przypadkach na dziesięć, gdy są jakieś kłopoty pomiędzy białymi i Indianami, stwierdzić można, że odpowiedzialnymi za nie są biali. Indianin, spodziewa się dotrzymywania słowa. Oni nie rozumieją jak człowiek może kłamać. Większość ich równie szybko uciąłaby sobie nogę jak powiedziała kłamstwo".

Poprzez znajomości z wysokimi oficerami armii Bill zyskał sławę na wschodzie, w stolicy i w Nowym Jorku. Wkrótce też stał się modnym i lubianym przewodnikiem licznych sportowych wypraw myśliwskich. Klientami jego byli zarówno bogacze amerykańscy jak i arystokraci angielscy, a nawet syn cara Aleksandra II.

Bill powoli zyskiwał sobie popularność również wśród tłumów. W tym czasie powstał już nowy rodzaj twórczości dramatycznej opisującej dzieje Buffalo Billa. Kiedy w 1872 roku Cody zaproszony przez przyjaciół przyjechał do Nowego Jorku, był zaszokowany powitaniami. Był bożyszczem tłumu. Zaproszonego do teatru, aplauzowała publiczność i artyści. Nie wiadomo co myślał o przedstawieniach. Niewiele w nich było autentyzmu. Wydaje się jednak, że wówczas człowiekowi, który całe życie nieustannie szukał pieniędzy, objawiła się prawda: jeśli inni zarabiają na jego sławie, czemu nie miałby sam spróbować?!

Buffalo Bill był przystojnym człowiekiem o ujmującym sposobie bycia; otoczony sławą; obracając się w towarzystwie nabrał dobrych manier; a talent narratorski zjednywał mu wielbicieli zarówno wśród mężczyzn jak i (zwłaszcza!!) wśród kobiet. Wszedłszy w kontakt z pisarzem Buntline, twórcą szeregu dramatów na jego temat i „Jackiem z Texasu" utworzyli we trzech zespół aktorski. Buntline pisał sztuki, podczas gdy na scenie Bill opowiadał co mu ślina na język przyniosła a Jacek dzielnie mu sekundował. Oczywiście, nie obywało się bez strzałów, bójek i...autentycznych trupów. Tak. Trójka dobrała sobie statystów grających role Indian, traperów itd. Atmosfera widowni była gorąca i udzielała się „aktorom". Zdarzyło się, że nagle z opowiadania „wypadało" Billowi spalić żywcem pojmanego jeńca. Ku ukontentowaniu widowni dzielna trójka złapała biedaka, przywiązała do słupa i... podpaliła. Na szczęście maszynista był na tyle przytomny, że spuściwszy kurtynę rzucił się ratować nieszczęśnika. Historyjki takie można mnożyć. Z czasem, opanowawszy nieco arkana nowego zawodu, aktorzy starali się mniej odbiegać od napisanego przez Buntlina tekstu. Tym razem niebezpieczeństwo kryło się w tym, że człowiek może umierać, niestety, tylko raz. Niepohamowanym fantastom Zachodu było to za mało. Czarny charakter ginął więc w każdym akcie ku ogromnemu zadowoleniu widowni.

Przedstawienia Billa stworzyły nowy rodzaj sztuki scenicznej: zbiorową improwizację na zadany temat. Mimo miażdżącej krytyki, mimo iż Buntline powędrował do więzienia za niespłacone długi, a znudzony Jacek uciekł na Zachód, Bill zmieniwszy impresario występował z nową trupą przy zawsze nabitej sali. Zyskał on nowego współpartnera w osobie wspomnianego poprzednio szeryfa Hickoka, który w czasie pierwszego przedstawienia zdenerwowany biegającym za nim po scenie światłem reflektora, wyjął pistolet i „rozstrzelał" go na kawałki. Pewnego razu, gdy na przedstawienie przyszła żona Billa, ten widząc ją wybuchnął: „Oh, mama! Ja jestem taki zły aktor!", przy ogromnym aplauzie widowni. Występy skończyły się nagle — w kwietniu 1876 r. zmarł na szkarlatynę jedyny ukochany syn Billa. Buffalo Bill wrócił na Zachód wojować z Indianami.

Nową sławą okryty Bill powrócił na scenę jako bohater narodowy. Lata 1877/78 są latami jego największych sukcesów aktorskich, precyzyjnie przygotowywanych przez nowego impresaria i pisarza J. Burke. Przedstawienia o tytułach: „Młody wódz prerii", „Rycerz pustyni", „Perła stepów" „Życie na granicy", „Traperzy", — nieodmiennie obracały się wokół osoby Billa. Resztę obsady tworzyli najczęściej jego przyjaciele, towarzysze z Zachodu, Indianie, amazonki. Po raz pierwszy na scenie pojawiają się konie. Przedstawienia zaczynają przekraczać ramy określone możliwościami sceny.

Rok 1882 jest przełomowym w karierze Billa — tworzy on zespół pod nazwą „Dziki Zachód Buffalo Billa", zespół, który zreorganizowany przyniesie mu sławę w kraju i za oceanem. Od tego roku Cody poświęcił się wyłącznie działalności widowiskowej, karierze piewcy romantycznych, bohaterskich lat podboju Dzikiego Zachodu.

Rys. Stefanowska-Utracka

EUGENIUSZ WINOKUROW

przełożył Seweryn Pollak

*

* *

Jam słowem prawda
Nie szermował,
To słowo miałem
W czci ogromnej
I obawiałem się
To słowo
Wśród obojętnej ciżby
wspomnieć.

I wierząc w prawdę
Bez zastrzeżeń,
W siłę zła
Wierzyć nie umiałem,
Aż kiedyś kłamstwem
Mojej wierze
Kobieta
Ciężki cios zadała.

Kłamała gładko,
Bez sumienia.
Uwierzyłbym
W kłamliwe słowa,
Lecz jak natrętna
Smuga cienia
Mętny mnie domysł
Prześladował.

Byłem nieśmiały,
Słaby,
Młody,
We mgle
Brodziłem pełen wstrętu.
Miasto
Kominów,
Wieżyc,
Schodów,
Było oszustwem
Niepojętym.

Szedłem
Niezgrabny, ociężały,
Głośno mówiłem
Sam do siebie.
Kałuże
Kłamstwem odbijały
Na wskroś fałszywą
Zorzą w niebie.
1957

* *

Nie, one boso by nie wybiegały
W siarczysty mróz do miłych swych na ganek,
Siarczanym kwasem by nie wypalały
Oczu przeklętych ich kochanek.

To nie ten temperament,
Inne tempo.
I miłość dla nich też niewiele znaczy.
Takie oddają się bez dłuższych wstępów,
A z rana budzą się bez płaczu.

Gdy zestarzeją się, znajdą wśród wspomnień:
Kwiecień. Noc. Rzeka. Zimny blask się ściele.
Grzeją w zanadrzu u nich zziębłe dłonie
Ziewają przypadkowi przyjaciele.
1961.

Prymitywny raj

Nietrudno klecić prymitywne raje.
Wystarczy się odgrodzić przepierzeniem,
Bieli się je, pozłotkę suto daje —
Do samej śmierci masz ciche schronienie.

Jak dom przytulne. Jak bunkier bezpieczne!
Głuche jak loch. Ale do szczęścia dość ci!
Lecz runie dach przy pierwszym lepszym wietrze —
I znowu nocne nad tobą ciemności...
1957

LEON GOMOLICKI

„Wieczny małżonek" czyli pojedynek postaw moralnych

Łódzki Teatr Nowy wystawił adaptację sceniczną **„Wiecznego małżonka"** Dostojewskiego. Nie jest to fakt odosobniony — ostatnio widzowie polscy mieli możliwość oglądania przeróbek utworów Dostojewskiego również w Warszawie (**„Bracia Karamazow"**), w Krakowie (**„Sen wujaszka"**), w Poznaniu (**„Wieczny małżonek"**). Poza przeróbkami dawnymi — MCHAT'u zjawiają się nowe, oryginalne, do których należy właśnie adaptacja **„Wiecznego małżonka"**. Autorem jej i jednocześnie reżyserem przedstawienia łódzkiego jest Stanisław Brejdygant.

Na ogół adaptacje sceniczne powieści udają się rzadko. Nie są to rzeczy współmierne — dramaturgia i proza. Żywioły ich wyłączają się nawzajem, jak ogień i woda. Aby przełożyć na język teatru powieść, trzeba postąpić z nią jak z orzechem rozkruszyć i odrzucić skorupę, wyłuskując ziarno treści. Ilustrować żywymi obrazami fabułę znaczy iść po linii najmniejszego oporu. Droga ta niewiele ma wspólnego z teatrem. Istnieje i druga skrajność: spreparowania utworu w komiksowym skrócie. Wtedy staje się rzecz zastanawiająca: z nieśmiertelnego dzieła powstaje banalna historyjka, wyświechtany melodramat.

Czy również i **„Wieczny małżonek"** nie stanowi li tylko zmiany tematu o małżeńskim trójkącie. Zresztą podobno nieprzypadkowo. W czasie kiedy opowieść ta powstała, duża popularnością cieszyła się książka Paul de Kocka **„Żona, mąż i kochanek"**. Sam Dostojewski pisze o niej w swoich **„Zimowych notatkach o letnich wrażeniach"**. Zbieżność druga: jednoaktówka Turgieniewa **„Prowincjuszka"**. Jeden z bohaterów Dostojewskiego właśnie „wieczny małżonek" Trusocki niedwuznacznie do niej się odwołuje, zestawia siebie z mężem w komedii Turgieniewa. A tam tenże trójkąt: młoda prowincjuszka, żona drobnego urzędnika i stołeczny gość, starzejący się bon vivant. Ale przecież nie o to chodziło autorowi **„Zbrodni i kary"**.

„Wieczny małżonek", utwór na ogół mało znany i nie eksponowany w twórczości Dostojewskiego, w rozwoju zasadniczych koncepcji pisarza zajmuje niepoślednie miejsce. Wątek męża-rogacza ujęty tragicznie, to precyzyjne studium psychologiczne tak charakterystyczne dla „okrutnego" pisarza Dostojewskiego — pełni tu tylko funkcję pomocniczą, wtórną. Protagonista adaptowanej opowieści jest były kochanek żony Trusockiego, Wielczaninow.

Ten prototyp egocentryków, nie uświadamiających sobie swojej winy krzywdzicieli w galerii Dostojewskiego jest mniej niebezpieczny niż Swidrygajłow ze **„Zbrodni i kary"** czy Stawrogin **„z Biesów"**. Ale i on w systemie moralnych norm pisarza musi ponieść karę, odpokutować za wyrządzone przez siebie krzywdy. Opowieść zaczyna się właśnie w chwili psychicznego załamania się bohatera. Powodem — kiełkująca właśnie w nim choroba, drobne niepowodzenia, obezwładniające hipochondria, letnie upały tak uciążliwe w wielkim mieście, białe petersburskie noce. Nieuzasadnione lęki i wątpliwości urastają do stanu majaczeń i halucynacji. Pamięć podsuwa urazy i niesprecyzowane wyrzuty sumienia, z których materializuje się postać pana w żałobie. Jest nim ośmieszony niegdyś, przed laty, mąż-rogacz. Fakt z pewnością nie najważniejszy w hierarchii popełnionych przez Wielczaninowa „przestępstw", lecz taka jest logika chorej wyobraźni. Z tą zjawą stoczy on walkę, która jest głównym tematem utworu.

Niektórzy badacze Dostojewskiego tak właśnie komentują postać Trusockiego. Jest on istotnie jakby utkany z przeciwieństw samego Wielczaninowa. Nawet jego nazwisko wygląda na nazwisko-etykietę, charakteryzujące tę postać: „trusić" z akcentem na ostatniej sylabie znaczy po rosyjsku — posuwać się truchcikiem. Cecha podkreślająca służalczość, nicość pełną kompleksów, nieobliczalną w swoich reakcjach, wybuchach. Materializując koszmar Wielczaninowa, Dostojewski dał oczywiście genialne studium natury obsesyjnej. Nie zmienia to jednak postaci rzeczy. Trusocki czy istnieje naprawdę, czy jest tylko halucynacją, „sumieniem" Wielczaninowa, pełni w stosunku do niego rolę wtórną. Dramat rozgrywa się wewnątrz świadomości głównego bohatera.

Adaptując **„Wiecznego małżonka"** Brejdygant obrał kierunek słuszny. Należy to stwierdzić z pełnym uznaniem dla jego intuicji i taktu.

Drogą dedukcji odkrył jak najbardziej słuszną tezę: dynamika utworu Dostojewskiego polega na moralnym pojedynku postaw. W wypowiedzi umieszczonej w programach teatralnych czytamy: „Starałem się nic nie uronić z portretu Trusockiego, wycyzelowanego ostatecznie przez samego Dostojewskiego. Pozostało mi natomiast, poza innymi zadaniami, sprecyzować postać drugiego z protagonistów. Na scenie sprawa „wiecznego małżonka" Trusockiego, nie może być, jak to ma miejsce w powieści, opowiedziana przy okazji losów Wielczaninowa. Aby zaistniał dramat, partnerzy muszą być mniej więcej równorzędnymi".

I trzeba przyznać, że pojedynek moralny, ten duet kreacji Wielczaninow-Trusocki doskonale się udał na scenie. Zasługa tu również i aktorów.

Janusz Kubicki w roli Wielczaninowa nic nie uronił z jej psychologicznych i moralnych treści. Był przekonujący i sugestywny. W niczym jednocześnie nie przesadzając nie nadużywając naturalistycznych gierek przy oddawaniu stanów patologicznych. Nie jego wina, że blady wypadły sceny zwierzeń w spotkaniach przed kurtyną z lekarzem Artymowem. Na scenie przekonuje tylko akcja, wszystkim „opowiedziana" pozostaje poza widowiskiem, odebrana rozumowo, bez zaangażowania emocjonalnego.

Dobry był również Zygmunt Zintel jako Trusocki. I nie jego też wina, że tonacja roli wypadła nieco inaczej, niż w oryginale — była mniej z Dostojewskiego, bardziej z Zapolskiej. Nie jest to również winą przeróbki, a stało się na skutek nieprzetłumaczalności stylu replik Trusockiego. W przekładzie polskim te jego „grymasy" stylistyczne, kolidujące z tragizmem podtekstu, zatarły się, spłycając drugie dno dialogu.

W zasadniczej więc części adaptacja się udała. Przypomina w czymś bardzo istotnym sztuki Dürrenmatta. A między innymi nasuwa analogię do **„Kraksy"**, której bohater, Alfred Traps należy do tegoż gatunku ludzi, co Wielczaninow. Jest sprawcą śmierci męża swojej kochanki, co uświadamia sobie dopiero po latach, ten wstrząs jest dla Trapsa, przy jego przeciętności, zbyt silny — bohater Dürrenmatta popełnia samobójstwo. Dostojewski jest bardziej okrutny — jego analiza ma cechy doświadczenia wiwisektora.

Doskonale pasują do treści i niesamowitości przedstawienia — dekoracje Zofii Werchowicz. W jej interpretacji Petersburg Dostojewskiego jest ciasny i uroczy, pokryty patyną, przysypany warstwą szarego kurzu. Zdajemy sobie sprawę, że tak nie wyglądał, że mieszkanie Wielczaninowa nie mogło być podobne do pokoju w trzeciorzędnym hotelu, a mimo to przyjmujemy wizję Werchowicz. Odbieramy ją jako właściwe tło t a k i e j akcji.

Gdyby na scenach „pojedynku" Trusockiego i Wielczaninowa adaptacja poprzestała, mielibyśmy jedną z ambitniejszych przeróbek teatralnych Dostojewskiego. **„Wieczny małżonek"** jeśli ma być sztuką, to tylko sztuką dwóch aktorów. Całkiem słusznie pominął Brejdygant rozbudowany w powieści epizod wizyty Wielczaninowa i Trusockiego w rodzinie Zachlebników. Epizod, który posłużyłby do stworzenia sceny żywej, komediowej, ze śpiewem (i to nie byle jakim, bo Wielczaninow śpiewa piosenkę Glinki do słów Mickiewicza: **„Moja pieszczotka"!**) i innymi popisami. Jednak zrezygnował i słusznie. Wyszło to na korzyść całości. Czemuż konsekwentnie nie odrzucił i innych epizodów, czemuż wprowadził do sztuki nie tyle postacie, ile cienie w rodzaju biernego powiernika Wielczaninowa lekarza Artymowa. A już najbardziej daleki, obcy klimatowi sztuki jest doczepiony do jej tragicznej treści farsowy happy end, zresztą doskonale odegrany skecz z udziałem Bohdany Majdy i Stanisława Łapińskiego. Szkoda rozrzutności środków artystycznych — zamiast wzbogacać niszczy ona kompozycję nadmiarem obcego ornamentu.

Muza domowa

Telewizja wkradła się w nasze życie niepostrzeżenie. A przynajmniej, początkowe zainteresowanie jakim ją darzyliśmy nie uprawniało dzisiejszych rozmiarów tego zjawiska. Zaczęło się od jednego odbiornika, jego obecność w mieszkaniu naszych znajomych traktowaliśmy jako słabość do rzeczy nowych i niezalegalizowanych, potem nieroztropnie przymknęliśmy na tę słabość oczy i oto już nie tylko odbiornik stoi w naszym własnym mieszkaniu, ale ponadto o tym co się dzieje na miniaturowym ekranie możemy przeczytać w każdym prawie dzienniku, tygodniku, miesięczniku, w księgarniach publikacje o nowym osiągnięciu techniki — zajmują specjalną półkę. Chwila lekkomyślnej nieuwagi sprawiła, że telewizja zalegalizowała się sama, bez naszego udziału. Wytworzyła sobie nie tylko ogromny krąg odbiorców, ale również zgromadziła wokół siebie ludzi, których wspaniałomyślnie żywi: technik telewizyjny, realizator telewizyjny, krytyk telewizyjny i dramaturg telewizyjny — to już specjalności stworzone i przystosowane do potrzeb nowej sztuki. Obok entuzjastów telewizji jest jeszcze naturalnie pewna grupa opornych, którzy nadal starają się iść pod prąd i negują wszelkie wartości płynące z zetknięcia się z przekazami telewizyjnymi. Ale ten opór nie ma chyba wielkiej przyszłości. Historia ekspansji telewizyjnej dziwnie przypomina baśniową opowieść o czarodziejskiej wodzie, która raz wyzwolona, nie pozwala się już nigdy sprowadzić do pierwotnych wymiarów i zalewa wszystko wokół siebie łącznie z tym, kto ją wyzwolił.

Jest zastanawiające, dlaczego obszerna przecież u nas felietonistyka i w ogóle literatura na temat telewizji tak rzadko, by nie powiedzieć wcale, formułuje uwagi syntetyzujące na temat prezentowanych programów. Refleksje o poszczególnych widowiskach nie mogą dać pełnego i w części choćby prawdziwego obrazu zjawiska, z którym stykamy się co dzień. Z drugiej strony badania socjologiczne, mimo, że na razie jeszcze fragmentaryczne, sygnalizują konieczność rzetelnego zajęcia się telewizją. Więcej. Wobec ciągle powiększającej się liczby odbiorców telewizji sugerują stworzenie jakiejś elastycznej dydaktyki telewizyjnej, której prawa pozwalałyby określić co widzowi pokazać warto, a czego pokazywać mu nie należy. Jeśli w krytyce telewizyjnej nie pojawiają się refleksje o charakterze ogólnym, to dzieje się tak z pewnością również dlatego, że refleksje takie byłyby niewesołe.

Powodzenie, jakie zdobyła telewizja na całym świecie stworzyło sytuację niepomyślną nie tylko dla radia i filmu, ale również dla teatru. Telewizja zepchnęła pokrewne sobie dziedziny sztuki do defensywy. Bardzo pouczające informacje na temat uzurpatorskiej roli telewizji w Stanach Zjednoczonych przynosi wydana niedawno książka prof. Toeplitza. Powojenna historia filmu amerykańskiego to ciągłe zmagania z rozprzestrzeniającym się coraz bardziej wpływem telewizji. Ale natura oddziaływania przekazu telewizyjnego nie ma lokalnego charakteru. Wiele jest oznak, że i w Polsce telewizja zajmie wkrótce czołowe miejsce wśród środków masowej komunikacji. Wygrywa już swoją walkę z radiem, ma nad nim tę przewagę, że dostarcza również doznań wzrokowych. Jeśli zaś chodzi o film i teatr... po co film i teatr, skoro już w tej chwili przedstawienia teatralne można oglądać w szlafroku?

Telewizja jest rozrywką wygodną. I to jednoznacznie rozstrzyga wynik jej walki o odbiorcę. Skoro zaś kłopotów z odbiorcą nie ma, można się mniej troszczyć o utrzymanie prestiżu. W ten sposób staje się telewizja wyjątkowo wygodną furtką dla wszelkiej miernoty w dziedzinie sztuki. I nie łudźmy się, miernota ta często zostaje na ekrany dopuszczona. Jej obecność tłumaczy się faktem, że telewizja jest sztuką masową, że musi być zrozumiała dla każdego widza. Ale najbardziej nawet niewyrobiony widz staje się w końcu widzem wymagającym, przestaje mu wystarczać produkcja mierna. Albo też na zawsze zostanie widzem niewyrobionym, jeśli ktoś nie zatroszczy się o to, by dostarczać mu doznań o coraz wyższej jakości. Nikt nie nauczy się rachunku różniczkowego jeśli stale będzie się ćwiczył w tabliczce mnożenia. Ci, którzy zasłaniają się koniecznością tworzenia sztuki najbardziej popularnej nie znają chyba groźnej i autentycznej anegdoty o pewnej pomocy domowej, która po półrocznym oszołomieniu przestała się cieszyć telewizją. I podejrzewając swych chlebodawców o podstęp porównywała seanse domowe z seansami u sąsiadów.

MIKS

HITCHCOCK ALFRED PRZEDSTAWIA...

Alfred Hitchcock zwany popularnie Hitch-the Rich (Rich and Strange — „Bogaty i dziwny" to tytuł jednego z jego filmów) należy do najciekawszych a zarazem najbardziej oryginalnych indywidualności Hollywood. Uważa się go powszechnie za wirtuoza warsztatu filmowego. Pokolenia młodych realizatorów kształcą się na jego dziełach. Ale tylko raz przyznano mu Oskara za „Rebekę" i nagrodę nowojorskiej krytyki za „The Lady Vanishes" (Dama znika). Widocznie dostojni jurorzy żywią głębokie przekonanie, iż wprawdzie filmy kryminalne i sensacyjne ogląda się z największą przyjemnością, zwłaszcza gdy są tej klasy co dzieła mistrza Hitchcocka, ale nagradzać je — to jakoś nie uchodzi. Krytyka francuska natomiast, znana ze swej frywolności i lekkomyślności, złożyła Hitchcockowi należyty hołd nie tylko podkreślając mistrzostwo i nowoczesność jego rzemiosła, ale i dorabiając jego filmom całą metafizyczną głębię, o której się największym filozofom nie śniło, a cóż dopiero jowialnemu i obdarzonemu niezwykłym poczuciem humoru mr Hitchcockowi. Jak zaś poucza nas historia, magistra vitae, metafizyka i poczucie humoru rzadko kroczą ze sobą w parze. Swój słynny dowcip, podobnie jak umiejętność tworzenia kryminałów, niesamowitości i zagadek zaczerpnął reżyser z bogatych w tej mierze tradycji swej ziemi ojczystej. Urodził się bowiem w Londynie, w r. 1899, w rodzinie poczciwego handlarza drobiu. Zawód ojca zaszczepił w nim na zawsze głęboką niechęć do jajek we wszelkiej postaci (a smakosz to nad smakoszami — o czym świadczy acz w mizernym stopniu jego tusza — ostatnio „tylko" — 90 kg) tudzież skłonność do scen rozdzierających, a krew w żyłach mrożących. Co mu zaszczepili ojcowie jezuici w których kolegium przez czas pewien pobierał nauki, trudno już dziś dociec. Fakt faktem, że w jakimś momencie, może u jezuitów, a może na uniwersytecie zapłonął namiętnością dla X-tej muzy i w r. 1920 rozpoczął pracę w wytwórni Famous Players-Lasky Company jako projektant czołówek i napisów.

W r. 1922 realizuje swój pierwszy samodzielny film „Numer 13". W r. 1926 zalicza się do grupy najbardziej obiecujących reżyserów angielskich, a jego dzieło „The lodger" staje się sensacją londyńskich ekranów i zapowiada już w pełni słynny styl Hitchcocka. W tzw. okresie angielskim, do roku 1938 nakręcił około 18 filmów. Do najlepszych dzieł tego okresu należą m. in. „Ring" (1927), „Szantaż" (1929) — pierwszy film dźwiękowy w którym w sposób b. interesujący potrafił wykorzystać nową technikę, „39 kroków" (1935). W 1939 r. David Selznick zaprasza Hitchcocka do Hollywood, gdzie pozostaje on do dziś dnia, mieszkając w pięknej willi w Bel Air w Kalifornii wraz z żoną — scenarzystką Almą Reville i dwoma walijskimi terrierami. Pierwszym hollywoodzkim filmem Hitcha była „Rebeka" (r. 1940). Już wkrótce wyrobił sobie w światowej stolicy filmu taką pozycję, że praktycznie rzecz biorąc mógł robić co mu się żywnie podobało (co w Hollywood udaje się tylko tym naj, naj, naj...) Filmy okresu amerykańskiego wznoszą się na szczyty wirtuozerii. Reżyser potrafi znakomicie wykorzystać najnowsze zdobycze techniki filmowej, czyniąc ze swej twórczości pole dla rozmaitych eksperymentów i traktując różne świadomie sobie narzucane ograniczenia jako odskocznię dla ćwiczenia stylu i odkrywania nowych możliwości wyrazowych sztuki filmowej. I tak np. w „Sznurze" (r. 1948) eksperymentuje z montażem, i czasem filmowym. Czas trwania filmu pokrywa się właściwie z realnym czasem wydarzeń. Film składa się z 10-minutowych ujęć-sekwencji. Akcja nie wykracza poza granice jednego mieszkania, a właściwie pokoju. Utrzymana została niemal pełna ciągłość czasowo-przestrzenna. I z tym wszystkim Hitchcock potrafił wytworzyć silne napięcie dramatyczne, stan niepokoju i podniecenia u widza. W „Oknie na podwórze" także zachowuje jedność miejsca, właściwie ograniczając nawet punkt widzenia (do tytułowego okna na podwórze) i wprowadzając znów 10-minutowe ujęcia, tym razem wzbogacone spojrzeniem teleobiektywu. Dzięki współpracy scenariopisarskiej Thor tona Wildera, w filmie „W cieniu podejrzenia" udaje mu się ukazać wierny obraz życia amerykańskiej prowincji, podbudowany świetnymi obserwacjami obyczajowymi. Dla „Urzeczonej" pozyskał natomiast współpracę Salvadora Dali, któremu zawdzięczać możemy należycie surrealistyczny i freudowski charakter słynnej sekwencji snu.

W Polsce mieliśmy możność obejrzenia ponadto: „Podejrzenia", „Aktu oskarżenia", „Nieznajomych z pociągu", „Złodzieja w hotelu" — świetnego technicznie „Zawrotu głowy". Z bardziej interesujących pozycji okresu amerykańskiego warto jeszcze wymienić „Kłopoty z Harrym" (dramaturgiczne wykorzystanie koloru), „Złego człowieka" — pierwszy film Hitcha kręcony w autentycznej scenerii (m. in. więzienie Sing-Sing). „Kierunek północ-północny zachód" (kapitalne wykorzystanie słynnych rzeźb na górze Rushmore), „Psychozę", na której co słabsi duchem mdleli pokotem i wreszcie głośne „Ptaki".

Pomijając sprawę niewyczerpanej wprost inwencji, twórczość Hitchcocka opiera się przede wszystkim na wnikliwej znajomości psychiki odbiorcy. W oparciu o nią Hitchcock wznosi swe znakomite konstrukcje dramaturgiczne dozując umiejętnie napięcie i operując tzw. suspense (zawieszenie). Suspense polega na zawieszeniu jednego z dwóch równolegle prowadzonych i łączących się ze sobą wątków akcji. Oczekiwanie i nieświadomość tego co się dzieje potęgują napięcie. Typowym tego przykładem jest np. sekwencja finałowa „Okna na podwórze", kiedy to unieruchomiony James Stewart oczekuje w swym pokoju nadejścia mordercy. Napięcie może także wynikać z wprowadzenia jakiejś niewiadomej albo do samej akcji albo do charakteru występujących postaci. I tak np. w „Podejrzeniu" nieznajomość pobudek kierujących postępowaniem Cary Granta tudzież fałszywe pozory stwarzają momenty niezwykłego napięcia dramatycznego (scena w samochodzie, scena z mlekiem). Kapitalnym czynnikiem budowania napięcia i nastroju oprócz b. często w filmach Hitchcocka występującej subiektywizacji obrazu, jest rytm (mistrz powołuje się tu nawet na samego Strawińskiego). Przykłady znakomitego operowania długimi i krótkimi, statycznymi ujęciami oraz gwałtownych zmian tempa i rytmu znajdziemy garściami w „Zawrocie głowy" czy „Nieznajomych z pociągu".

Hitchcock wykorzystuje zresztą pełny arsenał środków technicznych i wyrazowych, jakimi dysponuje film. Stosuje najrozmaitsze tricki, różne techniki zdjęciowe, ekspresywne oświetlenie, niezwykłe kompozycje kadrów (np. w „Nieznajomych z pociągu" — scena zabójstwa ukazana poprzez jej odbicie w leżących na ziemi okularach). Każdy element obrazu ma swoje znaczenie i dobierany jest z punktu widzenia swojej przydatności w tworzeniu nastroju i napięcia. Krytycy francuscy pokusili się nawet o próbę jakiejś systematyzacji pewnych stałych elementów hitchcockowskiego świata nazywając to szumnie „słownikiem mitologicznym". Z tego to wiekopomnego dzieła wynika, że Hitchcock upodobał sobie pewne rekwizyty (np. klejnoty, pierścienie, okulary, kajdanki), sytuacje i okoliczności, (upadki, kąpiele, przypadki tonięcia, burze itd.), nawet postacie (np. dzieci) traktując je jako budulec specyficznego klimatu swoich filmów.

Hitchcock uchodzi za twórcę czy przynajmniej współtwórcę kariery wielu gwiazd aktorskich, m. in. Grace Kelly, Teresy Wright (W cieniu podejrzenia), Tippi Hedren („Ptaki"), a także swych ulubionych bohaterów: Josepha Cottena, Jamesa Stewarta, Cary Granta. Mimo to uważa, że do sukcesu filmu aktor przyczynia się tylko w 5 proc., a w 95 proc. reżyser. Jest zdania, że reżyser jest absolutnym autorem prawdziwego filmu, nawet jeśli jest on (film a nie reżyser) adaptacją jakiegoś utworu literackiego.

Rys. J. Wiktorowski

A jaki jest stosunek Hitcha do stworzonego przezeń świata przestępstw, zbrodni i zawiłości psychoanalitycznych? Uważa się właściwie za moralistę. W jego filmach zawsze zwycięża dobro i obiegowa moralność gwoli zadośćuczynieniu konformistycznej mentalności społeczeństwa amerykańskiego (vide finał „Zawrotu głowy"). Ale z drugiej strony jego postacie oscylują na granicy zła i dobra, normalności i psychopatologii. I w umyśle uważniejszego widza może zrodzić się pytanie: gdzie przebiega ta granica i czy ona w ogóle istnieje. „Nie osądzajcie — powiada mistrz. Nie można sądzić ponieważ w zależności od przypadku lub okoliczności ludzie równie dobrze mogą postąpić w ten jak i inny sposób. Pokazuję w moich filmach inteligentnych i sympatycznych złoczyńców, uwodzicielskich morderców, ponieważ ludzie tacy właśnie są w życiu. Ludzie porządni najczęściej bywają bardzo pospolici. Pozory są przeciwko nim i nie tylko pozory". Mistrza fascynuje więc niezwykłość. A ludziom uczciwym rzeczywiście daleko do niezwykłości. Ale zło zawsze musi ponieść karę, dodaje Hitchcock ku pokrzepieniu serc pospolitych.

Nade wszystko jednak Hitchcock bawi się znakomicie swoimi filmami i reakcją jaką wywołują one wśród publiczności. Ten słynny z dowcipu i ciętego języka człowiek nie przepuszcza nigdy okazji, by nie zakpić sobie nieco z widza, z jego naiwności i łatwowierności, by nie mrugnąć łobuzersko z ekranu. Czasem czyni to nawet osobiście, bo ma oryginalny zwyczaj pojawiania się we własnych filmach np. jako gość hotelowy z teczką (Urzeczona) podróżny z wiolonczelą (Akt oskarżenia), podróżny z kontrabasem pakujący się do pociągu (Nieznajomi z pociągu) itd.

I jeszcze jedno: Hitch nie cierpi telewizji. Traktuje ją z pogardą jako kino dla ubogich duchem, jako sfilmowany teatr. Ale nie przeszkadza mu to zbijać na niej pieniędzy, po to by móc je wydać na „eksperymenty artystyczne" i finansowanie własnych filmów. Słynną serię „Alfred Hitchcock przedstawia" obejrzało w USA ponad 50 milionów widzów. Każdy, 28-minutowy filmik realizuje się w ciągu 3 dni. Scenariusze pisze James Allardice pod nadzorem mistrza, który dokonuje wyboru aktorów i udziela wskazówek dotyczących realizacji czterem specjalnie po temu wyznaczonym „białym Murzynom". Mistrz czuwa więc nad całością tudzież ozdabia ją własnym komentarzem, często nader złośliwym. Najistotniejszą ozdobą tego programu nadawanego w Stanach w niedziele o godz. 21.30 była niewątpliwie reklama niezawodnego środka na bóle głowy.

MARIA KORNATOWSKA

KOBIETA w świecie MĘŻCZYZN

Racje lady Mackbeth

Bardzo brzydko poczynała sobie lady Macbeth. Paliła ją nieustanna żądza tego, co dziś określilibyśmy jako „awans społeczny". Ambicja lady Macbeth była silniejsza, niż prawa moralne szekspirowskich bohaterów.

Ale lady Macbeth stoi jednocześnie na czele owego szeregu niezwykłych kobiet, które przekroczyły zamknięte granice kobiecego świata i stały się dla mężczyzny równorzędnymi partnerami w grze zwanej życiem. Takich kobiet nie ma w literaturze zbyt wiele. Pani Bovary była powieścią o nieszczęściu kobiety, niezrozumianej przez mężczyzn, o przepaści jaka dzieli te dwa światy. Ten gatunek „melodramatu w obronie kobiety" cieszył się i cieszy nie słabnącą popularnością (jedną z najbardziej głośnych sztuk na ten temat był grany u nas „Tramwaj zwany pożądaniem" Williamsa). Innym torem szła literatura „przeciwko kobiecie", literatura typu „Myszy i ludzie" lub wcześniej „Paryżanki" Becqua, ów myzoginizm Faulknera, Steinbecka, Caldwella — żeby już nie sięgnąć do Strinberga.

Stoją więc w literaturze naprzeciw siebie dwa światy: kobiet i mężczyzn. Walczą ze sobą, zwyciężają lub ponoszą klęski — nie ma pomiędzy nimi kontaktu i porozumienia.

Ale porozumienie to osiąga lady Macbeth Osiąga je na płaszczyźnie współpartnerowania mężczyźnie w jego żądzy władzy, w jego pragnieniu awansu.

Takie kobiety nie cieszą się sympatią społeczeństwa. Wolimy widzieć je słodkie i uległe, ogłupiałe gąski, ckliwe i ukryte w cieniu. Marysieńka Sobieska przez lata całe uchodziła jedynie za nadobną acz nieco frywolną żoneczkę Jana III. Dokładniejsze lektury mówią nam coś więcej o tej pani — pod Wiedeń śle ona mężowi dokładne instrukcje polityczne, wyznania miłosne przeplatają się z radami i ostrzeżeniami, a niektóre fragmenty prywatnych listów ukochanego małżonka ze względów czysto politycznych królowa da je do... gazety. Wylania się z tego całkiem inny obraz Marysieńki — godnej partnerki króla, wspólniczki jego posunięć. Lady Macbeth walczy mieczem i trucizną — Marysieńka ma do dyspozycji buduar i salon. Nie to jest istotne. Obydwie bowiem towarzyszyły swoim partnerom w ich drodze życiowej. W osiągnięciu celów.

Macbeth, aby zaspokoić swoje dążenie do „awansu społecznego" musi „zabijać sen". Zostawmy go teraz, posępnego, naprzeciw Przeznaczenia. Był i przeminął — a oto Dwudziesty Wiek i nieustanny ruch na szczeblach drabiny społecznej. Inne czynniki decydują o pozycji, jaką jednostka zajmuje. W naszym systemie będą to kwalifikacje, wiedza, talenty i zdolności, pracowitość, poziom moralny. Z tych czy z innych przyczyn — czasem zasłużony a czasem nie, odbywa się ów proces ciągłego awansu społecznego. Z istoty systemu wynika, że dotyczy on ludzi, którzy ongi małe mieli na to szanse. Że odbywa się w tempie przyśpieszonym, skróconym. I oto jesteśmy świadkami zjawiska, które określić by można jako „wyrastanie z żon".

Oto porządny i dobry człowiek, jakiś pan Iks. Ożenił się młodo, zaraz po wojnie. Jego żona, pani Iksińska była wówczas — tak mu się zdawało — idealną partnerką. Potem Iks się uczył, skończył wyższą uczelnię (zaocznie), awansował. Uczęszczał na liczne kursy, poznał kraj i świat, wyjeżdżał służbowo za granicę, zdobył obycie towarzyskie. Dziś zajmuje ważne stanowisko, dobrze pracuje, wiele wie, wiele czyta. Jest porządnym człowiekiem — ale o czym ma mówić ze swoją żoną, kiedy wieczorem wraca do domu? Pasjonuje go sprawa Planu Rapackiego — a tu żona nie wie nawet o co chodzi. Chciałby zobaczyć nową inscenizację „Dziadów" — ale połowica ledwie na operetkę da się wyciągnąć. On czyta książkę z zakresu socjologii — ona tkwi przy Courts — Mahlerowej. On czuje potrzebę posiadania ubrania, które nie tylko byłoby dobre gatunkowo — ale także modnie uszyte — ona w życiu nie miała na głowie kapelusza. Ona na ścianie wiesza jelenia na rykowisku — on myśli o nowocześnie urządzonych mieszkaniach. On rozważa szanse awansu na wyższe stanowisko — ją interesuje tylko dodatek rodzinny. I tak dalej i tak dalej.

Pewnego dnia mąż „wyrasta z żony" do tego stopnia, że zupełnie nie znajduje z nią wspólnego języka. I teraz: jeżeli jest uczciwym człowiekiem to stara się jakoś ułożyć swój los na zasadzie dwóch odrębnych światów. Jeżeli nie — to zostawia swoją starą żonę, z której „wyrósł".

Całą tę sprawę przedstawiłam, oczywiście w uproszczeniu. Ale jest ona przecież problemem. Jest zjawiskiem społecznym. Nie o to w niej chodzi kto jest „winny". Chodzi natomiast o to, że w okresach wzmożonych ruchów na społecznej drabinie, kobieta musi być dla mężczyzny równorzędnym partnerem. Inaczej ginie.

Więc może lady Macbeth miała rację?

EWA

ZBIGNIEW PĘDZIŃSKI

TRZY RÓŻNE KSIĄŻKI

WZNOWIENIE „SMOLARNI" Czernika

Podtytuł „powieść historyczna", jakim Stanisław Czernik opatrzył „Smolarnię nad Bobrową Wodą", może być niebezpieczny dla czytelnika, który dzieli i rozumie literaturę wedle sztywnych, konwencjonalnych, ale pojmowanych dosłownie rygorów gatunkowych. Obraz jedenastowiecznej Polski, krzepnący, zastygający w „Smolarni" — nie da się bowiem wtłoczyć w ramy ani epickiej panoramy, ani historiozoficznego fresku, na który to sposób urobili, ugnietli naszą powieść historyczną Sienkiewicz z jednej, Parnicki z drugiej strony. „Smolarnię" nakreślił przecież poeta, do tego — miłośnik literatury ludowej, do tego jeszcze — wyznawca autentyzmu czyli (niech mi Czernik wybaczy uproszczenia) programowo szczerej, nie wstydzącej się wylewności uczuć, literatury. To wszystko wpłynęło na artystyczny kształt „Smolarni".

„Smolarnię" zatem najlepiej odczytywać — przynajmniej taki jest mój gust i moja propozycja — jako balladę historyczną. Lecz balladę nie literacką, a ludową, w której czasy, Polska między Bolesławem Śmiałym i Bolesławem Krzywoustym, są raczej kanwą rozjaśnionych liryzmem, przyćmionych tragizmem, obrazów miłości i nienawiści człowieka do człowieka, a nie po kronikarsku cyzelowanym tłem historycznym. Doskonale to uświadamia cytowany ku końcowi powieści fragment właśnie Kroniki Galla-Anonima: ostrożnie wyważane opisy i oceny historiografa znamiennie kontrastują z drżącą od emocji, delikatnie cieniowanych nastrojów Czernikową frazą. I nie przypadkiem ta właśnie fraza — wówczas zwłaszcza, gdy opłata wypełniający pierwszy plan powieści, stary jak świat, lecz w „Smolarni" wzruszająco świeży, urwany romans niedoszłego królewicza — najgłębiej odciska się w wyobraźni i pamięci.

Stanisław Czernik „Smolarnia nad Bobrową Wodą", Warszawa, Lud. Spółdzielnia Wydawnicza 1964, s. 157, wydanie II.

NOWA POWIEŚĆ Zofii Lorentz

Konflikt zmyślenia fikcji literackiej z prawdą, doświadczeniem pisarza (biadał już nad nim stary Goethe) rozsadza swoiście powieść Zofii Lorentz. Jest to zresztą utwór w ogóle pełen konfliktów: współczesnych (między pokoleniami), historycznych (konspiratorów z okupantami), odwiecznych (płci, serca, związków krwi i uczuć z wyboru). I nie są to konflikty wyssane z pióra, wydumane przy biurku: realia fabuły „Daleko od jabłoni" dyktuje osobista, ludzka wrażliwość i doświadczenie pisarza. Ona również, sądzę, podyktowała temat książki, jeden z wielu, ale nie za wielu tematów „młodzieżowych" w naszej literaturze, próbę rozpatrzenia się w problemach i dramatach... nastolatków, sięgnięcia w komentowaniu przyczyn tych konfliktów do okupacyjnej biografii ich rodziców.

Wróćmy jednak do wspomnianego już konfliktu zmyślenia z prawdą: w powieści Lorentz objawia się on w uprzywilejowaniu, ba! hegemonii treści nad formą. Jest to książka bardzo żarłoczna i bardzo pośpieszna: żarłoczna w chęci pochłonięcia, objęcia wyobraźnią jak najszerszego kręgu ludzkich spraw, pośpieszna w transponowaniu tych spraw wprost na karty powieści — bez „ucukrowania się" ich w refleksji, uleżenia na literackim warsztacie. Znał doskonale i wielbił taką literaturę polski pozytywizm: pisali ją społecznicy, dla których najpoważniejszym zadaniem literatury było bicie na alarm nie tyle w wyobraźnię, w pobudliwość estetyczną, ile w sumienie czytelnika.

Powstanie i publikacja „Daleko od jabłoni" (w nielichym nakładzie 20.000 egzemplarzy) wskazuje, że potrzeba takiej literatury nie uległa przedawnieniu. Tyle, że tej potrzeby nie godzi się kwitować jedną żarłoczną i pośpieszną powieścią, więc byłbym ukontentowany, gdybym spotkał jeszcze bohaterów „Daleko od jabłoni", zwłaszcza młodych, (jako że i pragnienia krytyka bywają nienasycone) w bardziej spokojnych, z rozmysłem skrojonych kostiumach literackich.

Zofia Lorentz, „Daleko od jabłoni", Warszawa, Iskry, s. 150.

SZKICE Jana Koprowskiego

Generalnym zarzutem, jaki muszę postawić zebranym w książkę szkicom literackim Koprowskiego, jest zbytnia skromność ich autora. Usprawiedliwia się on w przedmowie, że zawarte w „Odwiedzinach u pisarzy" (taki bowiem podtytuł nosi „Z południa i północy" — przyp. ZP) materiały nie są zapiskami zawodowego krytyka, dodając w szkicu „O Knucie Hamsunie": nie jestem wprawdzie krytykiem zawodowym, ale należę właśnie do... grupy, dla której to, jak pisarz żyje i jak się jego życie przedstawia w stosunku do jego dzieła — jest zagadnieniem kapitalnej wagi.

Otóż zawodowy krytyk przystaje raz po raz w galerii nakreślonych przez Koprowskiego sylwetek literackich z uczuciem zazdrości. Bezpretensjonalność jest w komentarzu literackim wielką cnotą, jeśli idzie w parze z solidnym przygotowaniem i serdeczną pasją. Jednego i drugiego Koprowskiemu nie braku jest bibliografia podana na końcu tomu jest wyczerpująca, a interpretacje i oceny sprawiedliwe, co nie znaczy — banalne, bądź odcedzone z wszelkich sentymentów i resentymentów. Koprowski bowiem różni się od zawodowego krytyka także tym (i tego mu szczególnie zazdroszczę) że pisze o literatach, ba! o literaturach, które lubi, które jak literatura austriacka, są jego prywatnym, ale troskliwie i z talentem pielęgnowanym hobby.

Toteż „Nad Dunajem", pierwsza i najobszerniejsza część książki Koprowskiego, poświęcona właśnie literaturze austriackiej, wydaje się najbardziej barwną i zamkniętą partią „Z południa i północy". Koprowski doprowadza tutaj do swoistej perfekcji sposób widzenia utworów poprzez biografię twórców, poprzez ich kraj rodzinny, jego krajobraz, historię, kulturę. A że obiektem takiego postępowania jest literatura, o której (mimo mniej czy więcej sporadycznych przekładów) u nas mało się pisze i niewiele się wie — więc nie pozostaje nic innego, jak życzyć sobie i Koprowskiemu, aby „Nad Dunajem" stało się zalążkiem odrębnej i obszernej książki — monografii literatury austriackiej.

Dwie pozostałe części „Po sąsiedzku" (o niemieckich pisarzach, przeważnie związanych z Polakami i Polską) i „Z południa i północy" (miscelanea literackie) skomponowane są bardziej swobodnie, na podstawie urywków z notesu czy dziennika lektury pisarza. I tutaj jednak nie wkradły się irytujące brakiem odpowiedzialności i szacunku dla czytelnika impresje literackie: Koprowski portretuje pisarzy mało znanych (jak brat Gerharta Karol Hauptmann) czy zanadto znanych (jak Knut Hamsun) — świeżo, bezpośrednio i ciepło, ale sumiennie, nie prześlizgując się po istotnych problemach, najwyżej przedstawiając je nadto lapidarnie. Więc i te teksty proszą autora o ciąg dalszy...

I jeszcze jedna sprawa, a powód mej szczególnej zazdrości: język Koprowskiego. Jest to język rzeczywiście obcy naszej zawodowej krytyce (mówię bom smutny i sam pełen winy), bo prosty, swobodny, ładny. Koprowski w swoich szkicach opowiada, a nie wykłada, pokazuje, a nie dyktuje, rozmawia z czytelnikiem po polsku, a nie bije w niego sałwami ze słownika wyrazów obcych. Oby tak dalej!

Jan Koprowski „Z południa i północy". Wydawnictwo „Śląsk" 1963, s. 171.

Rys. Stefan Łobacz

MÓWI INŻ. ARCH. STEFAN ŁOBACZ, AUTOR PROJEKTU ŁÓDZKIEJ PALMIARNI.

„Uważam, że jest to obiekt bardzo potrzebny, zwłaszcza w Łodzi, w mieście o tak ogromnym zapyleniu i zanieczyszczeniu atmosfery. Ludzie są nerwowi, zmęczeni tempem życia — w palmiarni odetchnąć można inną atmosferą, zaznać nerwowego odprężenia. Dzięki różnicom klimatycznym można — to rzecz dowiedziona — osiągnąć psychiczną równowagę... Poza tym palmiarnia pełniłaby także inne funkcje. Miałaby być miejscem badań naukowców i studentów botaniki, miałaby też swój charakter wystawowy — któż w końcu widział prawdziwe palmy, cyprysy, eukaliptusy?

Pawilony (będzie ich siedem) zaprojektowałem w kształcie kulistym. Nie dlatego, że to nowoczesne, oryginalne. Po prostu kulista kopuła daje złudzenie przestrzeni, imituje w jakiś sposób nieboskłon, pod kulistą kopułą roślinność jest lepiej eksponowana — architektura (ściany, sufit, wiązania) nie rozprasza uwagi zwiedzających. Pierwszym, jedynym elementem najbardziej wyeksponowanym pozostaje właśnie roślinność. Przy takim zresztą rozwiązaniu koszty budowy pawilonu będą o jedną trzecią mniejsze niż przy rozwiązaniu tradycyjnym.

Łódzka Palmiarnia powstać ma przy ul. Konstantynowskiej w rejonie obecnego ogrodu botanicznego. Budowa rozpocznie się jednak dopiero w 1965 roku."

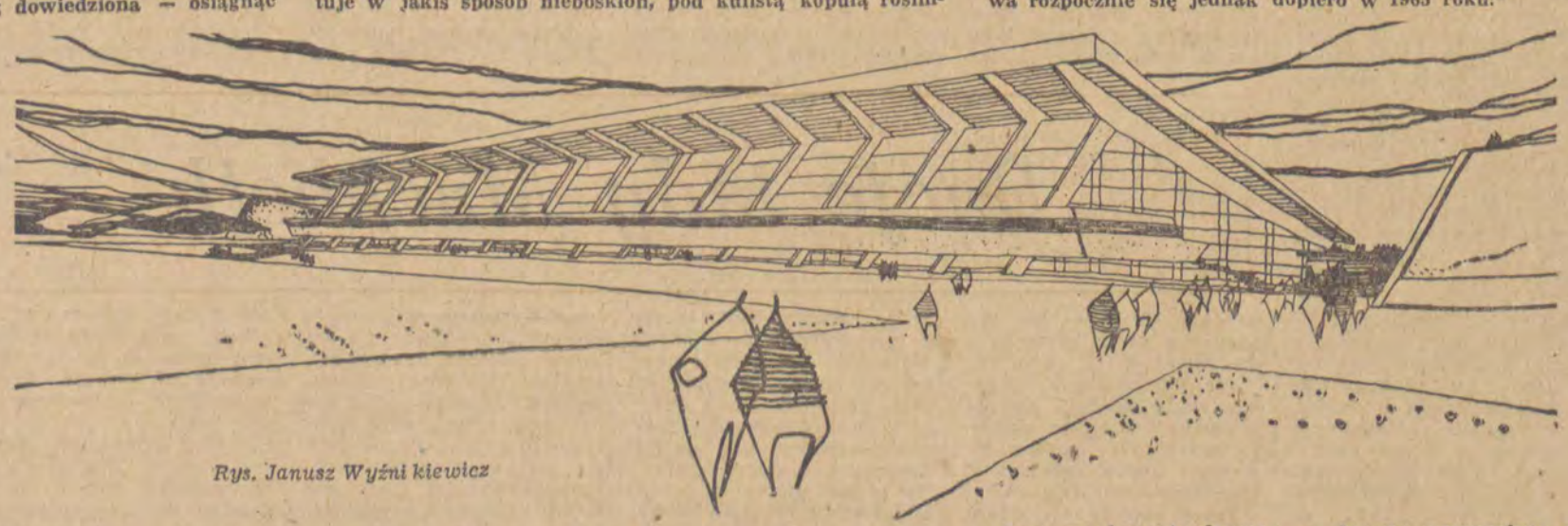

Rys. Janusz Wyżnikiewicz

MÓWI MGR INŻ. JANUSZ WYŻNIKIEWICZ, GŁÓWNY PROJEKTANT TRYBUNY SPORTOWEJ Z HALĄ NA STADIONIE ŁKS.

„Wiadomo, że powierzchnia wokół stadionu ŁKS jest niewielka i nie zmieściłaby się tam żadna hala sportowa, ani tak zwana część klubowa. Konieczność zmusiła nas więc do zaprojektowania hali... pod trybunami. Nikt tego dotychczas w Europie nie robił i rzeczywiście mieliśmy z tym projektem sporo kłopotu. Każdy szczegół, każdy fragment stwarzał zupełnie nietypowe problemy. Np. oświetlenie. Trybuna jest amfiteatralna więc i sufit będzie pochyły. Jak więc oświetlić? Zastosowaliśmy tzw. światło rozproszone. Reflektory ustawione w pewnych, nisko położonych punktach oświetlać będą sufit, który pokryty białomalowanym eternitem równomiernie rozpraszać będzie światło.

Albo materiał. Z pewnych względów stal byłaby za ciężka, drewno znów za słabe. Zastosowaliśmy więc po raz pierwszy elementy łączone — drewno wzmacniane stalą. Tego typu kłopotów mieliśmy wiele.

Podobnie skomplikowane, nietypowe projekty opracowuje się około trzech lat. Nasz pięcioosobowy zespół pracował nad nim rok."

Ostatnia książka TIMOFIEJEWA

Inaczej czyta się książkę pisarza za jego życia, inaczej wydanie pośmiertne. Kiedy autor żyje, dopełniamy sobie lekturę jego utworu tym, czego się jeszcze po nim spodziewamy, jeśli w dodatku znamy go osobiście, ze słowem czytanym kojarzy się jego głos, słyszany wczoraj, dziś, godzinę temu, jego gest, uśmiech i wszystko to wspomaga i wzbogaca lekturę jego książki, układa się w całość barwniejszą i ciekawszą, niż jest w istocie. „Trudna wolność" Grzegorza Timofiejewa jest jego książką ostatnią, wydaną w półtora roku po śmierci pisarza. Składa się ona z dwu niejako części: zbiór krótkich opowiadań o tematyce okupacyjnej i pierwszych lat po wyzwoleniu oraz z pamiętnika, pisanego na gorąco, o pierwszych dniach wolności i perypetiach po powrocie z niewoli hitlerowskiej do kraju. „Trudna wolność" w zamierzeniu miała być trzecim i ostatnim cyklem powieściowo-wspomnieniowym o wyraźnych cechach autobiograficznych. Z zainteresowaniem czytaliśmy poprzednie tomy „Miłość nie zna zmęczenia" i „Człowiek jest nagi", w którym Grzegorz Timofiejew opowiedział o swoim dzieciństwie i młodości spędzonej w Łodzi, a następnie o wojnie, okupacji i obozie koncentracyjnym w Gusen. „Trudna wolność" nie będzie już nigdy dopisana do końca i fakt ten w sposób bolesny mąci nam lekturę ostatniej, niespełnionej książki pisarza. Grzegorz Timofiejew zmarł w roku 1962 mając lat 54. Jest to wiek pełnej dojrzałości i dopiero teraz należało się spodziewać jego najlepszych osiągnięć w prozie (wierszy, o ile wiem, Timofiejew w tych latach nie pisał).

Grzegorza Timofiejewa znałem dobrze, choć z pewnością nie lepiej, niż jego towarzysze młodości: Marian Piechal i Antoni Kasprowicz. Był to człowiek zdolny i ambitny, kochający dom i dzieci, świetny narrator, pracowity i niepozbawiony talentów organizacyjnych. Lubiłem słuchać, kiedy opowiadał mi o przeczytanej przez siebie książce, o widzianym filmie lub przedstawieniu teatralnym, o spotkaniach i rozmowach z ludźmi, których potrafił żywo i plastycznie opisać. Te zdolności narracyjne musiały w końcu doprowadzić do tego, że zaczął pisać prozą. Wróżyłem mu w tym względzie dobrą przyszłość. Śmierć nie pozwoliła mu zrealizować się jako prozaikowi.

Grzegorz Timofiejew wrócił z obozu jako człowiek schorowany. W miarę upływu lat stan jego zdrowia pogarszał się. Ze smutkiem obserwowaliśmy, jak ubywa mu sił, jak co jakiś czas musi iść do szpitala lub wyjechać do sanatorium dla podratowania kondycji. Ale gdy tylko czuł się lepiej, od razu brał za pióro. W szpitalu obłożony był książkami i papierem do pisania. Podziwiałem jego wytrwałość i siłę woli. Umiał przy tym wypoczywać. Zdarzyło się nieraz, że jechaliśmy razem na jakiś zjazd lub spotkanie. W przedziale pociągu Grzegorz natychmiast zasypiał. Zasypiał również lub drzemał, gdy przyszło nam czekać na jakiejś stacji na połączenie.

„Wiesz, mówił do mnie, w obozie nauczyłem się każdą chwilę wykorzystywać dla wypoczynku. Nie uwierzysz, ale ja nawet w marszu potrafię spać. Może to właśnie uchroniło mnie w obozie od śmierci". I on i my wszyscy wiedzieliśmy, że nie to było przyczyną ocalenia. Uchronili go od śmierci ludzie. Timofiejew był jedynym, albo jednym z niewielu, który umiał podtrzymywać współwięźniów na duchu. Pisał wiersze i recytował je więźniom, opowiadał małe fabuły książkowe, filmy i sztuki teatralne, dostarczając ludziom zamkniętym w obozie namiastki prawdziwego życia. Oni z kolei odwdzięczali mu się tym, że pomagali w nazbyt ciężkiej pracy, że otaczali go tym szczególnym rodzajem troski, wypływającej z szacunku i z podziwu.

Czytam „Trudną wolność" i przypominam sobie moje rozmowy z Timofiejewem, przypominam sobie jego dawne wiersze z tomu „Wysoki płomień". Chyba tu, w tym zbiorze, osiągnął pełnię swoich poetyckich możliwości. I znowu są to wiersze o obozie i pierwszym dniu wolności. Ten temat zrósł się z Timofiejewem. Dziś już nie potrafimy patrzeć na jego dzieło inaczej, jak tylko przez pryzmat jego przeżyć obozowych i wchodzenia w nową, trudną wolność po latach okupacji i niewoli.

Całe życie i cała twórczość Timofiejewa związane są z Łodzią. Poza okresem studiów na Uniwersytecie Warszawskim i przymusowym więzieniem, nigdy miasta swojego nie opuszczał. Nie był nigdy za granicą. Można by o nim powiedzieć, że nic co łódzkie nie było mu obce. Ta jego Łódź, dawna i powojenna, przejrzała się po raz ostatni na kartach „Trudnej wolności". Wzruszające pod tym względem, również niedokończone, jest w tym zbiorze jego opowiadanie pt. „Powrót". Ani w poezji, ani w prozie nie był Timofiejew tzw. pisarzem — intelektualistą. Cechował go raczej sensualistyczny stosunek do życia. W wierszach ładnie opiewał przyrodę, w prozie chętniej pisał o ludziach i zdarzeniach, niż wdawał się w dociekliwą analizę psychologiczną. A przecież znajdziemy na kartach „Trudnej wolności" rozsypane tu i ówdzie, jakby mimochodem, uwagi i sformułowania, świadczące o powadze spostrzeżeń i przemyśleń. „Nie bać się. To największy przywilej wolności. Bez podejrzenia, bez strachu, bez nienawiści budować swój los".

Te słowa z opowiadania „Powrót" znajdują pokrycie we własnym losie pisarza. Timofiejew, urodzony w niewoli, w latach drugiej wojny światowej konspirator i więzień obozów koncentracyjnych, znał wagę słowa. Dlatego nie znajdziemy w jego utworach igraszek formalnych, zabawy w literaturę. Może ujmując rzecz z drugiej strony, jego pisarstwo jest nazbyt tradycyjne, za mało nowoczesne w sensie poszukiwań warsztatowych. Wydaje mi się, że gonitwa za formą bardziej charakteryzuje autorów bez zaplecza życiowego czyli bez biografii. Timofiejew, o którym ktoś kiedyś napisał, że jest pisarzem z biografią, zawsze miał na uwadze społeczne i po prostu ludzkie cele literatury. Chciał pisać o ludziach i dla ludzi. Szkoda, że nie dane mu było doprowadzić dzieła swego do końca.

Jan Koprowski

Co piszą inni

NAJWIĘKSZA POWIEŚĆ POLSKIEGO ROMANTYZMU

Mieliśmy wielką poezję romantyczną. Mieliśmy wielką dramę romantyczną. Nie mieliśmy wielkiej romantycznej powieści. Nie mieliśmy? Ależ mieliśmy! Mieliśmy, nic o tym nie wiedząc, skrywając ową powieść, skrzętnie i pieczołowicie, nie wydaną (choć niezupełnie zapomnianą), między starymi papierzyskami, szpargałami, które po owej epoce się zachowały. Powieść to jedna jedyna: ale za to wielogłosowa i wielowątkowa. Listy Zygmunta hrabiego Krasińskiego są tą powieścią. Powieścią obyczajową, miłosną, polityczną. Są największą powieścią polskiego romantyzmu. Tak właśnie nazywa się artykuł Jana Kotta, opublikowany w ostatnim numerze „Tygodnika Kulturalnego": „Największa powieść polskiego romantyzmu".

„Krasiński — pisze Kott — jest przede wszystkim autorem listów. Największym epistolografem epoki, a może nawet największym epistolografem literatury polskiej. O listach Krasińskiego można powiedzieć, że obnażone są w nich i ujawnione wszystkie sprzeczności epoki. Bezlitośnie i gwałtownie. Pierwszą z tych wielkich sprzeczności należałoby nazwać przeciwieństwem sądów generalnych i szczegółowych, idei i historycznego doświadczenia. Krasiński był urzeczony historią, zafascynowany nią podobnie jak pokolenie urodzone u pobrzeży pierwszej wojny światowej. Historia była generalnym odwołaniem, zasadniczym punktem odniesień, wielką sceną, na której rozgrywały się wszystkie dramaty: narodu i jednostki, cywilizacji i sztuki. Krasiński w listach, jeszcze gwałtowniej niż w „Nieboskiej" i w „Irydionie", prowadzi nieustanny dialog z historią".

Oto jest owa największa powieść polskiego romantyzmu: powieść o historii, a właściwie przeciw historii pisana, powieść, dla której historia jest **„generalnym odwołaniem, zasadniczym punktem odniesień, wielką sceną".** Kim był jej autor? I co o historii myślał? **„Nie miał w sobie — pisze Kott o Krasińskim — nic z mistyka. Był piekielnie trzeźwy, wyrachowany i oszczędny; miał doświadczenie polityczne, znajomość salonów i mechanizmów społecznych nieporównanie większą od Mickiewicza i Słowackiego; o wiele lepiej znał Rosję i Europę, filozofię i finanse. Historia w jego przeświadczeniu prowadziła nieuchronnie do katastrofy".** Ależ miał, oczywiście, że miał w sobie coś z mistyka. I był piekielnie trzeźwy i piekielnie nietrzeźwy zarazem. I był wyrachowany i szalony. Doświadczony i naiwny. Znał salony na pewno lepiej niż Mickiewicz. Znał mechanizmy społeczne na pewno gorzej niż Mickiewicz. Sam się do tego przyznawał, wystarczy przeczytać to, co pisze o swoich pierwszych spotkaniach z Mickiewiczem w listach do ojca. I to z jakim uwielbieniem, z jaką atencją pisze! Znał salony i była to wiedzą niezbędna do stworzenia wielkiej powieści o epoce. Powieści czyli zbioru listów do ojca, do Reeve'a, do pani Bobrowej. Historia była tej powieści generalnym odwołaniem, to prawda. Ale nie była dla Krasińskiego mechanizmem: była snem, koszmarnym snem, w którym wszystko się wali, rozpada, kruszy. Mechanizmem — sprawnym i precyzyjnym — była historia dla owego drugiego poety. To on ów mechanizm poznał do końca i do końca zrozumiał. Poznał tak, jak nikt z Polaków go w owej epoce nie poznał. Może dlatego — wiedział zbyt wiele — zostawił po sobie powieść, która nie jest ani polityczna ani społeczna, która chce być tylko sielanką i która z historią, w gruncie rzeczy, nie ma nic wspólnego: „Pana Tadeusza"?

TRAGICZNOŚĆ I DRWINA

„Pokolenie Brandysa i Andrzejewskiego nie było przygotowane na tę tak szybką i nagłą utratę „racjonalistycznego raju". Dla tych pisarzy świat zachwiał się po raz drugi i żadne proste rozwiązanie już nie istniało. Andrzejewski w tej sytuacji odszedł od ruchu robotniczego i marksizmu, traktując dzisiaj ten okres w swej biografii jako „wycieczkę światopoglądową" (p. wywiad w „Tygodniku Powszechnym"), Brandys i wielu innych pisarzy zostało, ale napięcie wewnętrzne trwa — dotychczas nie jest rozładowane. Sądzę, że przyczyny tego napięcia tkwią w dużym stopniu w fakcie, iż są to psychiki właściwe tradycyjnej warstwie inteligencji, które albo poddają się pewnej dyscyplinie ideologicznej i wówczas osiągają równowagę, albo przeżywają wieczny niepokój".

Cytat pochodzi ze szkicu Anny Bukowskiej „Tragiczność i drwina", wydrukowanego w ostatnim numerze „Współczesności". Bukowska pisze o prozaikach jednego pokolenia, **„których łączy inteligencki przeważnie rodowód i okres literackiego startu, którzy wojnę przeżyli w kraju, a po jej zakończeniu mieli trzydzieści lub nawet niespełna trzydzieści lat".** Artykuł jest opisem postaw i opis ten jest na pewno celny. Trudno też nie zgodzić się z wnioskami Bukowskiej. Choćby ze stwierdzeniem, że **„gra wewnętrznych postaw moralnych nie może eliminować sprawdzalnych społecznie i historycznie postaw rzeczywistych bez pomniejszenia dzieła i jego wartości poznawczej".** Ale czy równie celna jest próba diagnozy? Czy rzeczywiście postawy i napięcia wewnętrzne warunkowane są przez skłonności psychiczne pisarzy? A owe skłonności przez przynależność do „tradycyjnej warstwy inteligencji"?

Boiteau

Fraszki jana Czarnego

SAPIENTIA

Spotkał koń muła
i tak rzecze doń:
wszyscyśmy z mułu,
muł, osioł i koń.

ZASŁUŻENI

Zasłużeni neofici
przyodziani są i syci.

Notatnik kulturalny

16. III. — 22. III.

PONIEDZIAŁEK

„Pro Musica" — nazwa, która stała się niemal hasłem w całej akademickiej Polsce. O koncertach zespołu „Pro Musica" czytamy i w bydgoskim „Pomorzu" i w krakowskim „Życiu Literackim" — należy się więc im wzmianka także w moim notatniku. Zwłaszcza, że dziś „Pro Musica" koncertowała w Klubie Studenta. Nazwa koncertu — „Od Bacha do piosenki" a to dlatego, że same fugi i preludia mogłyby nieprzygotowaną, studencką widownię dokumentnie zmrozić. A tu figa z makiem (czy raczej fuga z makiem). Widownia nie dała się kokietować piosenkami tylko klaskała najgoręcej i najgłośniej właśnie przy Bachu i Chopinie. Jeśli nawet — jak mnie niektórzy przekonywali — oklaski te płynęły z Krainy Snobizmu, to nie widzę powodu, aby na studentów wybrzydzać. Na taki snobizm — zgoda.

WTOREK

Sport też kultura, tyle że fizyczna. Więc dziś krzepiąca wiadomość. Siatkarze AZS — wypadli z I ligi. Koszykarze LKS — wypadli z I ligi. Hokeiści ŁKS — uplasowali się — jak piszą w gazetach — na ostatnim miejscu w tabeli i też mają kolosalne szanse aby wypaść. Słowem — ogólnie biorąc całkiem nieźle wypadamy.

ŚRODA

O sprawach pracy, zatrudnienia słyszy się często wypowiedzi równie bałamutne co nieprawdziwe. Nie dziwię się zatem, że na otwarte zebranie organizacji partyjnej przy Wydziale Filologicznym UŁ przyszło także wielu bezpartyjnych. Tym magnesem był właśnie referat dra W. Janowskiego na temat sytuacji w zatrudnieniu w świetle uchwał XIV Plenum KC PZPR. Spójrzmy jednak na liczby. W 1938 r. notowano 456.000 bezrobotnych, natomiast w 1962 roku poszukiwało pracy 41.000. Ale — tym 41.000 oferowano... 67.000 miejsc pracy. Niestety, wśród poszukujących było 23.000 kobiet, którym oferowano zaledwie 11.000 miejsc. Ta konfiguracja potęgowała oczywiście wrażenie istniejących trudności. W latach minionych znajdowało się do dyspozycji 300.000 nowych miejsc pracy rocznie. W 1964 roku — będzie ich tylko 100.000. Ale jest w tym jakaś zapowiedź zdrowej sytuacji na rynku pracy. Ludzie po prostu będą pracę szanować — obecnie bowiem na 8.000.000 zatrudnionych — 1.000.000 w ciągu roku zmienia miejsce pracy, wędruje. Cyniczne „czy się stoi, czy się leży" będzie dotąd aktualne, dopóki szacunek dla warsztatu pracy nie stanie się powszechny.

CZWARTEK

Byłem dziś w bibliotece Międzyzakładowego Domu Kultury w Aleksandrowie, w bibliotece, w której mógłbym obchodzić swój jubileusz, bo jako kilkunastoletni chłopak byłem tu jednym z pierwszych czytelników. Dziś biblioteka ma 6.700 tomów i 670 czytelników. Taka przypadkowa zbieżność nastroiła mnie statystycznie. Na jednego czytelnika przypada więc 10 książek. Każdy czytelnik gdyby czytał jedną książkę dziennie, na przeczytanie całego księgozbioru musiałby przeznaczyć ponad 20 lat. Całe dwudziestolecie. Jest jeszcze jedna tylko liczba, która zakłóca to miłe wyliczenie. Aleksandrów liczy 12 tysięcy mieszkańców, więc z biblioteki korzysta co dwudziesty. I jaka na to rada? Jak zareklamować smak i urok prawdziwie dobrej książki, komuś, kogo nawet „Srebrny Kluczyk" nie pociąga? Jaki kluczyk pasuje do serca potencjalnego czytelnika?

PIĄTEK

Pisać o malarstwie trochę niebezpiecznie. Jeśli napiszę, że jestem za malarstwem przedstawiającym — pan X i pani Y orzekną, że się nie znam. I będą mieli rację, bo ja rzeczywiście na malarstwie się nie znam — nie wstydzę się jednak swoich upodobań. Gorzej, gdy mamy do czynienia z tzw. masowym odbiorcą, który upodobania ma niezbyt sprecyzowane i zagubiony pośród szalenie mądrych rozważań krytyków może czuć się jak ktoś z kogo robią balona. Związek Zawodowy Metalowców, jeden z nielicznych który prowadzi na bardzo szeroką skalę działalność upowszechniającą kulturę chce temu masowemu odbiorcy pomóc. Inicjatywa to pierwsza w Polsce, tym sympatyczniejsza dla nas, że chodzi o Łódź. Dostanie zatem Łódź z klasy metalowców stałą galerię współczesnego malarstwa. Zakłady pracy będą obrazy kupować, ale dzieło nie powędruje do gabinetu dyrektora, lecz do galerii. Wydany na plastykę publiczny grosz wróci do publiczności.

SOBOTA

Zorientowani twierdzą, że w chwili obecnej istnieje około 50.000 tomów literatury w języku esperanto. Są na świecie biblioteki gromadzące publikacje wyłącznie w tym języku, każda zresztą poważna biblioteka ma ambicje posiadania swojego esperanckiego działu. Biblioteka Uniwersytecka także. Dział taki jest tu aktualnie w organizacji. Z Hiszpanii np. esperantyści zapowiedzieli przesyłkę kilkuset książek, łódzcy „wyznawcy Zamenhofa" też niemało ofiarowali do powstającego zbioru. Nie wiem czy jest tam taki rarytas jak napisana przez poetę Leo Belmonta „Najłatwiejsza metoda języka esperanckiego wierszem" wydana przez Arcta w 1912 r. Ale na pewno jest „Tri Budrysoj", utwór zaczynający się od słów: „Budrys forta kaj sama", malujnulo Litvana...".

NIEDZIELA

Mamy Dzień Kobiet, Dzień Dziecka, Dzień Hutnika, Dzień Lotnika, Dzień Mężczyzn (40 Męczenników) — mamy także Dzień Meteorologii. Tego dnia prognozy pogody wyjątkowo się sprawdzają, a Wicherek występuje nie w czarnym swetrze, lecz w białej koszuli. Tego dnia przeczytałem wyjątkowo pasjonującą rozprawkę pt. „Wymiana wód między Bałtykiem a Oceanem Atlantyckim" napisaną przez Henryka Dubaniewicza z Katedry Meteorologii UŁ. Laik powie — no cóż, wielki problem wymiana wód, niech sobie o tym debatują naukowcy. A tu sprawa dotyka również laika — jego ryby na świątecznym stole, taniego dorsza na śniadanie... Tzw. wlewy słonej wody atlantyckiej do Bałtyku wnoszą i planktonową florę i rozwojowe stadia ryb — wpływając na warunki rybołówstwa na Bałtyku. Dzięki tym wymianom wód w Bałtyku zadomowiają się krewetki, zadomowił się także krab, bardzo miły skorupiak, którego dotychczas znaliśmy jedynie z kubańskich konserw a 20 zł sztuka. Nasz rodzimy, bałtycki krab może będzie tańszy.

J. W.

spektakle tygodnia

FILM

POLONIA — „Gwiazda szeryfa" . . . . . 80% frekwencji
WOLNOŚĆ — „Krzyk strachu" . . . . 75% „

TEATR

NOWY — „Most"
(2 spektakle) . . . . 886 — 63% „
„Maria Stuart"
(5 spektakli) . . . . 2613 — 74% „
JARACZA — „Zaproszenie do zamku"
(3 spektakle) . . . . 1700 — 83% „
„Nagi król"
(3 spektakle) . . . . 1200 — 60% „
POWSZECHNY — „Romeo i Julia"
(2 spektakle) . . . 1320 — 99% „
„Szkoła obmowy"
(2 spektakle) . . . . 1300 — 97% „
7.15 — „Lekarz mimo woli"
(6 spektakli) . . . . 2100 — 60% „
OPERETKA — „Sensacje w Londynie"
(6 spektakli) . . . . 3200 — 80% „
FILHARMONIA — Koncert symfoniczny
(2 koncerty) . . . . 900 — 63% „
ESTRADA — „Zgaduj-zgadula"
(1 koncert) . . . . 9000 — 100% „

Cyfry procentowe oznaczają stosunek widzów do miejsc na widowni.

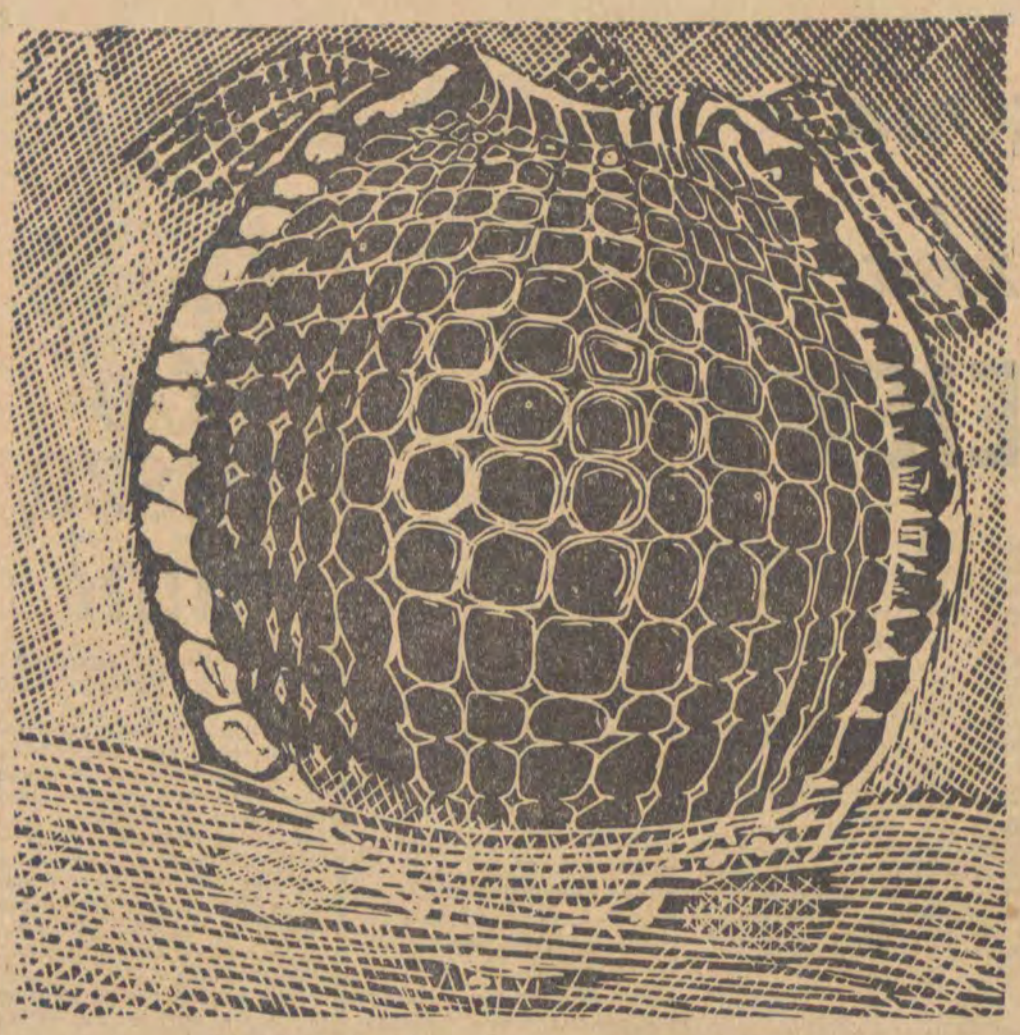

Z WYSTAWY GRAFIKI W KLUBIE DZIENNIKARZA
Ryszard Grzybowski — „Pancerz żółwi" — linoryt.

warto posłuchać

Łodzianie lubią muzykę oratoryjną — ściślej: niektórzy łodzianie, a mianowicie miłośnicy dobrej muzyki szczególnie chętnie uczęszczają na koncerty, w których udział biorą oprócz orkiestry także soliści i chóry. I nie ma w tym nic dziwnego. Duże zespoły wykonawcze mają na ogół większe możliwości uzyskania zróżnicowanych efektów dźwiękowych, a co za tym idzie, dostarczenia silniejszych wrażeń i przeżyć. Jest to oczywiście zasada bardzo względna i chyba rację miała George Sand, kiedy twierdziła, że „w jednym preludium Chopina jest więcej muzyki niż we wszystkich trąbach Mayerbeera".

Wracając do muzycznych upodobań łódzkich melomanów informujemy, że w najbliższym okresie czeka nas potężna dawka muzyki oratoryjnej: z siedmiu kolejnych programów filharmonicznych aż pięć zawierać będzie duże formy wokalno-instrumentalne. Trzykrotnie wystąpi chór filharmonii, raz połączone chóry mieszane wyższej i średniej szkoły muzycznej, jeden raz chór szkół muzycznych stopnia podstawowego i licealnego. I to każdorazowo w ramach cotygodniowych, poważnych, abonamentowych koncertów orkiestry filharmonii. Możemy więc mówić niemalże o małym festiwalu.

Pierwszy z serii tych koncertów — w dniach 10 i 11 kwietnia przyniesie „Stabat Mater" Karola Szymanowskiego. Filharmonia nawiązuje tu do pięknej tradycji zainicjowanej przez ś.p. prof. Władysława Raczkowskiego wykonywania tego pięknego utworu co rok pod koniec marca w związku z rocznicą śmierci kompozytora (29. III.). Wykonanie tego utworu zaplanowane pierwotnie na 24 marca przesunięto na 10 kwietnia w związku z III Ogólnopolskim Konkursem na muzyczną audycję szkolną, który odbędzie się w Łodzi w dniach 6—10. Wręczenie nagród najlepszej w kraju ekipie filharmonicznej odbędzie się właśnie na wieczornym koncercie. „Stabat Mater" będzie prawdziwą ozdobą uroczystego zakończenia konkursu.

W następnym z kolei tygodniu (17. i 18. IV.) będziemy świadkami łódzkiego prawykonania „Wierchów" Artura Malawskiego, jednego z najlepszych powojennych utworów muzyki polskiej i niewątpliwie najwybitniejszego dzieła w zakresie literatury wokalno-instrumentalnej, jakie powstało u nas po wojnie. Jakkolwiek przeznaczone jest w zasadzie dla teatru, opery i baletu, ze względu na swe wybitne walory wykonuje się je również na estradzie koncertowej. „Wierchy" przygotowują połączone chóry Średniej i Wyższej Szkoły Muzycznej włączając się w cykl koncertów, poświęconych muzyce Dwudziestolecia.

24 i 25 kwietnia nowa — bardzo interesująca pozycja orkiestrowo-chóralna: fragmenty muzyki Mendelssohna do „Snu nocy letniej" Szekspira.

W dniu 6 maja orkiestra i chór filharmonii łódzkiej wystąpią gościnnie na Festiwalu Muzyki Polskiej w Bydgoszczy, gdzie przedstawi m. in. poemat „Hugo" Henryka Jareckiego. Program festiwalowy dwukrotnie zostanie powtórzony w Łodzi w dniach 8 i 9 maja, wreszcie w tydzień później (15 i 16. IV.) usłyszymy „Nokturny" Debussy'ego z udziałem połączonych chórów podstawowej szkoły muzycznej i liceum muzycznego.

Program bogaty i interesujący. Byłoby może lepiej, gdyby „efekty chóralne" rozłożyć w sezonie bardziej równomiernie. „Zagrały" tym razem tzw. względy obiektywne. Chóry szkolne przy częstotliwości prób — jedna w tygodniu — nie są w stanie wcześniej przygotować programów; „Stabat Mater" wiąże się z rocznicą śmierci Szymanowskiego, festiwal bydgoski ma datę od dawna ustaloną a ze „Snem nocy letniej" było dużo trudności w zdobyciu materiałów nutowych.

P.S. Wymienione wyżej koncerty polecamy również wszystkim miłośnikom „big-beatu". Będą obfitować w niejedno „mocne" uderzenie, choć osobiście uważam, że najsilniejsze wrażenie robi brzmiące pianissimo i dobrze wytrzymana pauza.

Z. G.

jazz

IX — DRUGIE POKOLENIE

Rok 1924 upamiętniony koncertem zorganizowanym przez Paula Whitemana w Aeolian Hall rozpoczyna złotą erę jazzu. Jego stolicą jest wówczas Chicago, w którym grają takie sławy, jak Joe „King" Oliver, Luis Armstrong, Frank Keepard i wielu, wielu innych czarnych wirtuozów, którzy przywieźli tu jazz z Południa. W cieniu jednak Chicago wyrasta inna potęga — Nowy Jork. Rośnie także i zaczyna dawać znać o sobie drugie pokolenie muzyków rekrutujących się już w dużej mierze z białych „zarażonych" bakcylem synkopy.

Na razie drugie pokolenie obok kultywowania tradycji żywiołowej, swobodnej, a jednocześnie surowej i chropowatej improwizacji nowoorleańskiej tworzy własny styl, zwany później „nowoorleańskim przeobrażonym"; lub po prostu „chicagowskim". Styl ten wygładza szorstkie brzmienie instrumentów, „ugrzecznia" niejako, porządkuje linie melodyczne prowadzone przez tradycyjne nowoorleańskie instrumenty (trąbka, klarnet, puzon) — wprowadza także ostry, synkopowany rytm i eksponuje indywidualną ekspresję solisty.

Szkoła chicagowska jest wynikiem poszukiwań pierwszych białych pionierów jazzu, o tak znanych dzisiaj nazwiskach, jak Pee Wee Russel, Bud Freeman, Eddie Condon i inni.

Powstają pierwsze wielkie orkiestry, big-bandy traktowane początkowo jako akompaniujące tło do popisów improwizacyjnych wielkich solistów. Nieco później pojawiają się pisane aranżacje pozwalające na zastąpienie spontaniczności przez wypracowany język orkiestrowy. Płynne brzmienie zespołu doprowadzone zostaje do perfekcji dzięki ścisłej dyscyplinie muzykowania.

Wszystkie te nowe, początkowo nieśmiałe i pozostające w sferze prób i poszukiwań tendencje zapowiadają jednak nadejście „złotych lat" jazzu.

U ich progu pojawia się w tej muzyce nowa postać — aranżer. Zespoły liczą po 12—16 muzyków, koordynacja więc ich gry nie może być pozostawiona przypadkowi. Aranżer ma ciekawe, ale i trudne zadanie — partytura bowiem utworu jazzowego musi być precyzyjnym schematem zespołowej gry, zachowując jednocześnie swobodny, twórczy i spontaniczny charakter muzyki jazzowej. Nie mówiąc o tym, że od zestawienia poszczególnych instrumentów zależało brzmienie tzw. „sound" orkiestry.

Do najwybitniejszych aranżerów końca lat dwudziestych należą: Fletcher Henderson — jeden z pierwszych twórców big-bandów jazzowych, doskonały pianista, a z wykształcenia inżynier-chemik, który dla muzyki porzucił swój zawód, następnie William „Count" Basie zaliczony później do grona pięciu geniuszy jazzowych oraz podobnie wyróżniony Edward Kennedy „Duke" Ellington. Wprowadzone przez nich innowacje przyczyniają się do wykształcenia nowego typu muzyka jazzowego. Muzyka tego cechuje nieodzowna i biegła znajomość zapisu muzycznego nie traci on przy tym wrodzonej zdolności i umiejętności spontanicznego i twórczego improwizowania, bez którego nie ma przecież mowy o jazzie.

ANDRZEJ KRÓLIKOWSKI

Mówiłam, że u Kowalskich święta będą skromne.
Rys. J. Wiktorowski

warto obejrzeć

TV

I znów mamy święta, a ze świętami jedyna metafora, jaka nasuwa się wieszczowi, jest kulinarna.

Wśród dań podawanych tuż przed świętami (podawanych, jak wiadomo byle jak i na odczepne, bo gospodynie mają ważniejsze rzeczy na głowie) — wyróżnia się niby rodzynek wyskubany ze świątecznej już babki **„Portret Doriana Gray'a"** w Wielkoczwartkowym Teatrze Fantastyki „Sfinks" (26 marca). Powieść (jedyną!) Oscara Wilde'a tłumaczyła Maria Feldmanowa, adaptowała Krystyna Nastulanka. Reżyseruje Jerzy Gruza, grają m. in. znakomici panowie Ignacy Gogolewski i Gustaw Holoubek. Kto to był Oscar Wilde, Państwo oczywiście wiedzą dzięki filmowi „Proces O. W.", który niedawno bawił na naszych ekranach.

Na Wigilię i Wielką Sobotę tradycją telewizji stało się przyrządzać miksturę staropolsko-poetycko - artystyczno - kryminalną. W ingrediencjach przewidzianych w roku bieżącym (28 marca) na uwagę zasługują koncert zespołu **Musicae Antiquae Collegium Varsoviensis**, dalej Grzegorza Lasoty **„Tadeusz Kulisiewicz"** (cykl „Portrety"), Danuty Michałowskiej recytacje fragmentów „Eugeniusza Oniegina" (**„Tatiana"** — z Krakowa), wreszcie **„Bohaterowie są zmęczeni"** — stary film z młodym Yves Montandem (współzależność jest prosta: im film starszy, tym bohater wyda się młodszy).

I tak dopadliśmy do świątecznego stołu (29 marca). Najbardziej atrakcyjnie (bo ostro i pikantnie) przedstawiają się przystawki. Więc specjalne wydanie **„Wielokropka"**, w którym obok dwóch Janów K. (Kociniaka i Kobuszewskiego) wystąpią: Alina Janowska, Ludwik Sempoliński i fascynująca dla młodzieży i Kisiela (muzykologa dra Stefana Kisielewskiego) Karin Stanek oraz reżyserowane przez Andrzeja Łapickiego pytanie zasadnicze, chociaż rozrywkowe **„Czy Pani gra w jojo?"** — z udziałem znów Janowskiej, a nadto Elżbiety Czyżewskiej, Barbary Rylskiej, Lucyny Winnickiej, Mieczysława Czechowicza, Wiesława Gołasa, Bohdana Łazuki i Tadeusza Plucińskiego.

Danie podstawowe w te święta z konserw: film **„Fernandel Cowboy"**, czyli western tak, jak go widzą Francuzi.

Stół ozdobi wujek z Afryki, Olgierd Budrewicz, który w cyklu „Ziemia, ludy, obyczaje" opowie, kto to są **„Najwięksi i najmniejsi"**.

W drugie święto (30 marca) — aby do wetów. Bo oto na deser telewizja zapowiada farsę niezawodnego George'a Feydeau pt. **„Dudek"**. Reżyseruje Jerzy Antczak, grają m. in.: Lidia Korsakówna, Irena Kwiatkowska, Danuta Szaflarska, Igor Śmiałowski i Czesław Wołłejko.

Zatem Wesołych Świąt i smacznego — zwłaszcza lwu, który ostatnio po zakończeniu każdego programu zjada autorów łódzkiego „Łupu-cupu".

J. M.

warto obejrzeć

TYDZIEŃ W KINIE

Czytelnikom, którzy nie zdążyli obejrzeć w kinie Studyjnym „SAMOTNOŚCI DŁUGODYSTANSOWCA" w reżyserii Tomy Richardsona należy wymieniony film polecić przede wszystkim dlatego, że jest to dalsza pozycja reprezentująca angielską „nową falę" lub jak kto woli tzw. „wściekłych". Przywódcy ich — m. in. pisarz Osborne, a wśród filmowców dokumentalista Lindsay Anderson, założyciel głośnej przed kilku laty grupy „Free Cinema", stawiają sobie jako cel działania „walkę z konformizmem", ze starym, zaśniedziałym od czasów epoki wiktoriańskiej konserwatyzmem obyczajowym. Ich filmy — „Z soboty na niedzielę" Reisza, „Sportowe życie" Andersona czy „Samotność długodystansowca" Richardsona ukazują rzeczywistość angielskich przedmieść i ruder. Bohaterowie „nowej fali" angielskiej działają z niezwykłą jak na Anglików gwałtownością, a nawet brutalnością, manifestując, czasami dość prymitywnie i dziecinnie, swoją pogardę dla pozornie gładkiej angielskiej rzeczywistości, nie tyle może społecznej, co przede wszystkim obyczajowej. Bohaterem filmu Richardsona jest młody wyrostek Colin Smith, który buntując się przeciwko egzystencji robotniczej rodziny wchodzi w kolizję z prawem i zostaje osadzony w domu poprawczym. Z typową angielską pedanterią próbuje się go, wśród wielu mu podobnych, wychowywać poprzez morderczą rywalizację sportową obliczoną li tylko na zaspokojenie swego rodzaju „hobby wychowawczego" jakiemu się oddaje dyrektor zakładu. Oczywiście, młody chłopak buntuje się przeciwko nie tyle samej metodzie, co społeczności, która narzuca mu wszystko w jego życiu. Swoista „filozofia nonkonformizmu" przekazywana w filmie Richardsona jest o wiele słabsza w argumentacji, motywach działania bohatera aniżeli w innych wymienionych filmach „angielskich wściekłych". Film Richardsona ma wiele świetnych rozwiązań formalnych, z których na uwagę zasługują b. dobre, a momentami znakomite zdjęcia Waltera Lassaly'ego. Trudną, a zarazem ciekawą aktorsko kreację stworzył Tom Courtenay.

Biegunowo inną w nastroju pozycją bieżącego repertuaru jest „MADAME SANS-GENE" z Sophią Loren i Robertem Husseinem. Ta barwna filmowa zabawa jest pełna dynamiki, humoru, ironii i francuskiej pikanterii. Znana światu historyjka paryskiej praczki, późniejszej księżnej gdańskiej z łaski Napoleona, została świetnie przykrojona dla współczesnego widza dzięki lekkości i finezyjnej reżyserii Christiana Jaquesa, autora m. in. bądź co bądź niezapomnianego „Fanfana Tulipana" z Gerardem Philippem. Tak więc w okresie świątecznym, dla zabawy i odprężenia „Madame Sans-Gene" ze świetną i uroczą w tym filmie Sophią Loren jest pozycją jak najbardziej godną uwagi.

Odradzałbym mimo pozornej atrakcyjności tytułu oglądanie „WOJNY TROJAŃSKIEJ" — kiczu, który nie tylko chyba samego Homera wyprowadziłby z równowagi. Temu produktowi włosko-francuskiemu nie można nawet odmówić nakładu kosztów a nawet pewnego rozmachu inscenizacyjnego. Cóż jednak z tego, kiedy od początku do końca cała ta historyjka zrealizowana jest na poziomie trzeciorzędnego komiksu i metodą „jak mało rozwinięty człowieczek wyobraża sobie wojnę trojańską". Nie ratują więc filmu rydwany i konie, pożar Troi, mężny Achilles i olbrzymi koń trojański, nic nie pomogła uroda Juliette Mayniel — zielonookiej gwiazdki francuskiej grającej m. in. w filmach Claude Chabrola — przywódcy francuskiej „nowej fali". Powstał nieznośny w swej naiwności i długości tasiemcowy kicz w kolorach na panoramicznym ekranie. Stanowczo lepiej iść na spacer lub poczytać „Mitologię" Jana Parandowskiego.

Na początku nadchodzącego miesiąca wchodzi na ekrany nowy film Wandy Jakubowskiej „KONIEC NASZEGO ŚWIATA" wg powieści Tadeusza Hołuja. Światowa prapremiera tego filmu odbyła się kilka tygodni temu w Paryżu na zjeździe b. członków ruchu oporu. Również w mieście toczącego się procesu zbrodniarzy oświęcimskich — we Frankfurcie nad Menem film Wandy Jakubowskiej wstrząsnął widzami. Nowy film autorki „Ostatniego etapu" jest freskiem ukazującym ludzi obozu oświęcimskiego na tle mechanizmu działania wyrafinowanej maszynerii największej fabryki śmierci. Podjęcie tego tematu przez Wandę Jakubowską w chwili obecnej jest jak najbardziej potrzebne i słuszne. Jak jest potrzebny film Jakubowskiej świadczy chociażby atmosfera „zdziwienia i zaskoczenia" panująca na sali sądowej we Frankfurcie nad Menem. Osobną recenzję poświęconą wymienionemu filmowi zamieścimy w najbliższym czasie, na razie gorąco polecamy jego obejrzenie.

A. N.

Redaguje Zespół — Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" — Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-75
Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4; kwartalnie zł 12
Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. — Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem: na „Odgłosy".
Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17.
Zam. 872 III. 64 F-4